Nr. 13. Warszawa, dnia 30 (18) Marca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** **k. 50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARKIADA.

Urodzony w roku kongresu wiedeńskiego, „Altkanzler" niemiecki kończy d. 1 kwietnia osiemdziesiąty rok życia. Patryoci urządzili mu na ten dzień, i całą dnia tego oktawę, uroczystość niezwykłą, niebywałą. Tysiącami całymi śpieszą do Friedrichsruhe; kolej żelazna, wiodąca z Berlina, użyć będzie musiała całego swego taboru, aby te masy wyrzucić przed siedzibę największego człowieka naszych czasów. Do takiego wyolbrzymienia wdzięczności narodowej przyczynił się dzielnie sam cesarz przez zapowiedź osobistego stawienia się z radością i przyjaźnią swoją, jako droższymi od innych darami. Nie spodziewano się tak rychłego zapomnienia o lekceważeniu, jakiem wielkim kanclerz obrzucał osobę cesarską po dymisyi z d. 20 marca 1890 r., o kampanii nienawiści, jaką przez dwa lata przeciwko królowi swemu, jego kanclerzowi nowemu i nowej polityce prowadził. Zajrzał był wprawdzie już raz Wilhelm II do księcia lauenburskiego, który tytułem tym wzgardził, drwiąc z łaski cesarskiej; ale odwiedziny owe były raczej symbolem miłościwego przebaczenia, aktem zewnętrznym, stwierdzającym chęć pozbycia się Capriviego, niż czynem widomego hołdu, złożonego uosobionemu geniuszowi, zasłudze i cnocie obywatelskiej. Obecna wizyta, d. 26 marca, w towarzystwie następcy tronu i na czele całego oddziału wojska, jest już uroczystym aktem zgody, czci i miłości. Niczego mu nie zbrakło, aby mógł być doskonałym: trzy lata temu jeszcze nieprzyjaciele, zasiedli teraz u jednego stołu i wychylili, na wspólną intencyę wielkości i szczęścia Niemiec, kielich pokoju.

Tłumy śpieszące do siedziby altkanclerskiej ulegają dwoistemu patryotyzmowi: niemieckiemu i bismarkowskiemu; pierwszy przez Bismarka i jego czyn kocha Niemcy, drugi poprzez Bismarka nie widzi Niemiec: cześć bałwochwalcza tłumi tam miłość ojczyzny i zdrowy pogląd obywatelski. Patryoci tej drugiej kategoryi są liczniejsi, niż pierwszej. Jest jeszcze i trzeciego rodzaju patryotyzm: agrarny. Lepiej by się dziś agraryuszom działo, gdyby jeszcze Bismark stał u steru; nie byłoby traktatów z Rosyą i Austryą, ale za to więcej pieniędzy w kieszeniach; wycieczka do Friedrichsruhe jest jakby wyrazem żałości: „O, czemuś nas, wielki kanclerzu, opuścił? Czemu nierotropność wstrzymała funkcye tej mądrości, jakiej nam koniecznie do szczęścia potrzeba!"

Najwięcej jest ludzi upojonych, oślepionych Bismarkiem—tych, którym wrodzona słabość natury ludzkiej nakazuje ubóstwiać powodzenie nasycające zbiorowy egoizm. Zjednoczenie Niemiec przedstawia się im jakby wytworzenie nowej ojczyzny. Spętane czcią marną umysły nie widzą okoliczności sprzyjających, których Bismark nie wytworzył, z których tylko skorzystał; zapominają o krwi, wylanej na polach Francyi, o zasłudze myśli i wiedzy wojskowej, o tem, co naród sam z siebie wydać i co z dóbr swoich utracić musiał, aby zatryumfować nad wrogiem; nie chcą pamiętać o trzyletniej walce samego cesarza Wilhelma I i Roona o służbę trzyletnią: wszystko, co Niemcy wprowadziło na wielką widownię dziejową, co postawiło je na miejscu Prus jako wielkie mocarstwo europejskie—wszystko to, wraz z odzyskaniem Alzacyi i Lotaryngii — uważane jest za wyłączny dar geniuszu bismarkowskiego, uczyniony narodowi niemieckiemu. Metoda czynu nie wchodzi wcale w rachubę, boć przecież naród ani filozofem, ani moralistą być nie potrzebuje; krzywdy późniejsze, wyrządzone w rozwoju wewnętrznym, ucisk materyalny i moralny, zmonopolizowanie myśli państwowej i samej miłości ojczyzny w samym sobie, pożerający egoizm, który wszystkie po kolei stronnictwa przepędzał przez rózgi nienawiści: nic już z tego wszystkiego nie zostało w pamięci; bałwochwalstwo wszystko z niej wymiotło.

Z NIEMIEC.

Berlin, 23 marca.

Rozprawy Rady stanu i ich rezultaty. — Schorlemer-Alst.

Onegdaj zamknięto 8-dniowe rozprawy rady stanu. Cesarz Wilhelm, który osobiście przewodniczył przez cały czas posiedzeniu, zamknął je mową bardzo znamienną, aczkolwiek treść jej można było przewidzieć już z ważniejszych ustępów przemówienia przed tygodniem przy otwarciu obrad. „Jeżeli rezultaty naszej długiej i usilnej pracy nie zadowolą powszechnych, niecierpliwych oczekiwań, to jednak, dzięki obradom naszym, jaśniej się zarysowały granice tego, co osiągnąć można." W dalszym ciągu zaznaczył cesarz, że wskazówki tu zebrane posłużą za wyborny punkt wyjścia dla działalności prawodawczej rządu; zawierają one szereg środków, których zastosowanie pomoże ratować od zguby ostatecznej własność ziemską. „Takie atoli środki, które i panowie uważacie za niewiodące do celu, a praktycznie niewykonalne, albo niebezpieczne, tem łatwiej rząd będzie

mógł wykreślić ze swych projektów." Jeżeli przełożymy tę abstrakcyę na język faktów, to słowa monarsze oznaczają, że projekty, naokoło których toczyła się całkowita agitacya agraryuszów, wykluczono z szeregu tych, nad którymi rząd w przyszłości zastanawiać się będzie. A jednak sam hr. Kanitz zasiadał w radzie stanu i sam był obrońcą swego przewrotu ekonomicznego. Nie znamy tekstu obrad. Z rozkazu cesarza trzymany on jest w tajemnicy. Tylko *Staatsanzeiger* ogłaszał krótkie sprawozdania. Wczoraj właśnie usłyszeliśmy orzeczenie komisyi, którą z łona rady wyznaczono dla osądzenia Kanitza i jego geniusza polityczno-ekonomicznego. Prócz ogólników, które powtórzono w mowie monarszej, czytamy tutaj: „Doniosłe znaczenie, jakiego żąda projekt upaństwowienia zakupu zboża, nie daje się zupełnie pogodzić z pojęciem państwa i jego znaczeniem współczesnem w dziedzinie przemysłowej. Państwo nie może wziąć na siebie obowiązku zakupowania i sprzedaży zboża, tudzież oceniania wszędzie i zawsze potrzeb ludności; nie posiada ono niezbędnych na to organów. Jeżeli zaś z projektem powyższym łączy się jeszcze żądanie sprzedaży skarbowej produktów żywności drożej, aniżeli rząd sam za zboże płaci, to należy uważać ten projekt za bardzo wątpliwy pod względem społeczno-politycznym. Takie kierownictwo rynku zbożowego wywołać może najwyższe niezadowolenie, a co za tem idzie— silnie zaszkodzi podstawom życia państwowego." W dalszym ciągu komisya wylicza kilka innych zarzutów, wreszcie zaznacza, że niepodobna pogodzić tych projektów z traktatami handlowymi... Porażka zatem na całej linii armii agrarnej. Co uczynią obecnie ci, których słowa ostateczne cesarza Wilhelma skruszyć winny w proch, a którzy nie rozstali się po dzień dzisiejszy ze swą prastarą dewizą: „mit dem König absolut, wenn — er unsern Willen thut..."

Czy są praktyczne rezultaty tych rozpraw ośmiodniowych? Tak, tylko że nie wypływają bynajmniej z agitacyi agraryuszów, bo już oddawna (dla przyczyn zupełnie odmiennych i interesom agraryuszów biegunowo przeciwnych) noszono się z niemi w ministeryach pruskich i wielokrotnie zapowiadano na drodze urzędowej. Są to wszystko półśrodki, nie chorobę, ale jej objawy leczące, takie, których „ziemianie" znać nie chcą. Z tych kilkunastu punktów zaznaczymy tylko bardziej ważne i charakterystyczne. Rząd zamierza przeprowadzić reformę giełdy zbożowej i ograniczyć nierząd spekulacyi; wziąć pod uwagę kwestyę monetarną, sprawę podatków na wódkę i cukier, spichrzów wspólnych, zniżenie taryf kolejowych; w szerszym stopniu współdziałać kolonizacyi za pomocą włości rentowych, w celu wytworzenia osiadłych robotników wiejskich; wreszcie wprowadzić szereg środków dla podniesienia kredytu rolnego, przez zamianę dzisiejszego na hypoteczny, oparty na zasadach amortyzacyi i taniości, albo też przez założenie instytucyj państwowych, szczególnie w celach kredytu melioracyjnego.

Umarł von Schorlemer-Alst, długoletni członek i przywódca centrum w parlamencie niemieckim. Był jednym z ostatnich mohikanów owej armii, która w latach walki ugrupowała się koło Windthorsta. Nie był nigdy wielkim mężem stanu. Jako agitator i polemista z epoki *Kulturkampfu*, miał kilka dogmatów, które pieścił w sobie. Był czas, kiedy jego pojedynki polemiczne z partyami, wrogo dla centrum usposobionemi, szły w równej parze z walką Windthorsta, cały jednak układ stronnictw parlamentarnych wykluczać zaczął wszelką wojnę partyzancką, i kiedy należało przystąpić do układów, wtedy okazało się, że dla Schorlemera-Alsta nie było więcej miejsca obok Windthorsta. Usunął się więc z parlamentu, acz walki w obronie swych ideałów kościelnych nie zarzucił. Przeniósł ją tylko do Westfalii, gdzie posiadał włości rozległe i gdzie śród chłopstwa rozwinął działalność, za którą otrzymał tytuł „westfalskiego króla chłopów." Tutaj właśnie natura jego przystosowała się do warunków materyalnych tak silnie, że był agraryuszem w tym już czasie, kiedy centrum opierało się jeszcze uprzywilejowaniu ziemiaństwa. Dlatego też organy, w rodzaju *Gazety krzyżowej*, uważały go za ogniwo, łączące zgodnie partye konserwatywne z środkiem parlamentarnym. Nie zawiódł tych nadziei o tyle, że w r. 1894, wbrew życzeniom towarzyszów, głosował za projektem wojskowym, ale nie zachodził w swych pragnieniach agraryusza tak daleko, aby pogodzić się z projektem hr. Kanitza. Jako umiarkowany członek środka i umiarkowany agraryusz, bywał zawsze mile widzianym u dworu i tą biernością niejeden zdobył sobie tytuł i order. Cesarz Wilhelm mówi o nim w swej depeszy kondolencyjnej: „Był to mąż, zarówno oddany swej ojczyźnie, jak i kościołowi, który niejednokrotnie był mi przyjacielem i doradcą..." Ta depesza ma prócz osobistego (dla Schorlemera-Alsta), znaczenie polityczne, którego całkowitej rozciągłości ocenić nawet dziś jeszcze nie można.

Na jednym z balów dworskich, obecny dr. Lieber, przywódca centrum, dotychczas zupełnie nie „hoffähig," był zaszczycony dość długą rozmową z cesarzem. Wtedy zwróciło to już uwagę prasy. Przebąkiwano też, że w sprawie ustawy przewrotowej stanowisko centrum, przeciwne i bojowe, ulegnie zmianie. Depesza, o której mówiliśmy wyżej, zdaje się potwierdzać to przypuszczenie, gdyż w zeszłym tygodniu przedstawiciel centrum oświadczył w komisyi, że jego stronnictwo nie ma nic przeciwko sprawie pojedynków. Centrum oddawna już odgrywa pod względem ilościowym ważną rolę w rozprawach i postanowieniach parlamentarnych. W ostatecznym rezultacie ono zawyrokuje o przyjęciu lub odrzuceniu projektów rządowych. Dlatego też kilka drobnych faktów rzuca nieco światła na możliwą przyszłość ustawy przewrotowej.

P. O. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Cesarz Wilhelm d. 26 marca osobiście na czele wojska złożył ks. Bismarkowi życzenia na 80-tą rocznicę urodzin i ofiarował mu szablę, „tę broń germanów"—dlaczego tylko germanów? — oraz pieczątkę z biurka Wilhelma I, swego dziada. Poprzedniego dnia nawiedzili Friedrichsruhe członkowie trzech Izb prawodawczych, zasiadających w Berlinie; przedstawiennictwo urzędowe miał tylko sejm pruski; niemiecki bowiem 164 głosami przeciwko 146, d. 23 b. m. odrzucił propozycyę Levetzowa, swego prezesa, aby wystąpić *in corpore*. Levetzow zaraz podał się do dymisyi, a cesarz wystosował depeszę do Bismarka, wyrażającą „głębokie oburzenie" z powodu zuchwałego postępku. Po cesarzu miał kanclerz Hohenlohe złożyć powinszowania wszystkich ministrów. Wielki książę Badeński osobiście już zawiózł, co miał do zawiezienia. Mówiono i o królu Saskim. Takiego okadzania za życia nie dostąpił nikt chyba za naszej pamięci. Po pielgrzymkach urzędowych, których uczestnikami są figury ściślej i luźniej rządowe, rozpoczynają się pielgrzymki obywatelskie: wylewy serc nienaderzających w takt jakiejkolwiek nominacyi. Na przemówienia Levetzova

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 3.

Rzesza cicho zsunęła się ze wzgórza, które księżyc natychmiast srebrnym osypał pyłem. Arjos zatopiony dotąd w tłumie, zbliżył się do Morona. Noc odskoczyła od pięknego młodzieńca zawstydzona i pozwoliła gwiazdom obrzucić go blaskami ciekawych źrenic. Odchyliła się nawet od jego czarnych włosów i modrej bluzy, która ledwie za kolana okrywała jego smukłe ciało. Oczy okrążała mu powaga, czy smutek.

Moron.

Bóg cię wybrał na wodza ludu naszego w wojnie z Mirami.

Arjos.

Chyba nie zajrzał w moje serce.

Moron.

On widzi wszystko.

Arjos.

W takim razie mnie nie wybrał.

Moron.

Szatan wszedł w ciebie—wypędź go.

Arjos.

Nie nawiedzał mnie nigdy, nie czułem go ani w sobie, ani koło siebie. Kiedy w dniu pokuty spowiadacie się przed bogiem ze swych grzechów, ja mu nic nie wyznaję, bo nic nie mam.

Moron.

Pamiętaj, że białe skrzydła aniołów zczerniały od pychy, tem bardziej czernieje od niej dusza ludzka. Pokora jest karmicielką wszystkich cnót. Tak rzekł Pan.

Arjos.

Moronie, nie obmawiaj boga, który okrutnym być nie może. Czyż podobna, ażeby on, wszechmocny, nie stworzył ani jednego dobrego człowieka? Czy podobna, ażebym go tem obrażał, że podziwiam słońce we wszystkich odmianach jego majestatu, że upajam się widokiem kwiatu we wszystkich postaciach jego uroku, że odurzam się pięknościami dnia i czarami nocy, że rozglądając się ciągle po tym wspaniałym domu, jaki bóg sobie w naturze zbudował, odkrywam coraz nowe cuda i że te wszystkie moje uczucia wylewam w pieśniach? Czy to jest grzech?

Moron.

To nie...

Arjos.

Kiedy ja nic innego nie robię, a nawet w tej chwili, gdy z tobą rozmawiam, słyszę, jak trawy lekkim szeptem proszą ducha, przelatującego nad ziemią, ażeby im spieczone usta zwilżył rosą.

Moron

Właśnie z tych snów bóg postanowił cię obudzić i dlatego rozkazał ci wziąć do ręki oręż i poprowadzić lud przeciwko wrogowi.

Arjos.

Ja ani palić, ani grabić, ani mordować nie umiem.

Moron

Gdy jednakże wczoraj lew pędził przed sobą w śmiertelnej trwodze nasze stada i ich pasterzy, gdy nikt nie miał odwagi

i Köllera, Bismark odpowiedział długiem zapytaniem: skąd jemu przyznają zasługę spełnienia dzieła, w którem przecież pracowało tylu innych: cesarz Wilhelm, armia, naród cały? — a wywodem skąd się wzięła jego niepopularność u niektórych stronnictw; w drugiej część zepsuł, co w pierwszej naprawił.

Radość z rocznicy bismarkowskiej usunęła z przed oczu sprawy ważniejsze. Nic prawie z powodu oburzenia, oskontowanego już z góry, nie zrobiono. Na zaznaczenie zasługuje zamknięcie d. 21 b. m. przez cesarza Wilhelma pruskiej rady stanu, w rolniczej jej postaci. Po 8 dniach uciążliwych trudów, stwierdzonych przez Wilhelma II, który, jako prezes ustawiczny, przedewszystkiem swoje własne trudy miał na myśli, otrzymano rezulat w licznych desideratach ujemnych i dodatnich, których platonizm bije żarem na poważnych statystów. Jedynym pozytywnym pożytkiem jest odrzucenie wniosku Kanitza o zmonopolizowanie handlu zbożem przez państwo. Radcy stanu istotnie mogą sobie tej uchwały powinszować.

We Francyi cicho: ani wymysłów, ani bójek. Choroba nie pozwoliła p. Faure'owi wyjechać osobiście do obozu w Sathonay pod Lugdunem, skąd wyrusza wyprawa na Madagaskar. Gen. Duchesne teraz dopiero otrzymał urzędową nominacyę na wodza. Wyspiarze zbroili się także w cichości przez zimę; szkodziła im blokada francuska, pomagali kupcy i oficerowie wysłużeni angielscy. Za miesiąc można się już spodziewać wojny.

W Hiszpanii skończyło się na Canovasie del Castillo. Dnia 23 nowy gabinet złożył dymisyę regentce. Zasiadają w nim ci sami, co zwykle, ilekroć się chorągiewka liberalna zwróci ku zachowawcom; więcej statku, niż nowych talentów i ambicyi. Może to właśnie jest dobrą stroną konserwatyzmu hiszpańskiego, że mając stałych swoich ludzi, może mieć i stalsze zasady, jakby raz już na zawsze umiarkowane, pozwalające liberalnym na względne poparcie w niejednym wypadku. Gdy otworzymy „Almanach de Gotha" na r. 1893, znajdziemy w nim już nazwiska dzisiejszych ministrów: ks. Tetuanu, minister spraw zagranicznych, Cos. Gayon — spraw wewnętrznych, Azcarraga — wojny, Béranger — marynarki, Romero y Robledo — sprawiedliwości; nowymi są: w skarbie — Reverter, w koloniach—Castellanos, w robotach publicznych, handlu, rolnictwie („fomento") — Bosch.

O komisyi armeńskiej ani słychu. Może ją kurdowie wymordowali; może jej turcy usta zakneblowali. Wszystko być może. Energia dyplomacyi europejskiej w obronie ludzkości jest jak pałasz blaszany, którym bawi się dziecko.

W służbie dyplomatycznej zmiany. Gen. Werder nagle usunięty z poselstwa w Petersburgu, gdzie był nadzwyczaj mile widziany; na jego miejsce poseł stambulski, książę na Radolinie. Do Berlina na ambasadora po J. E. hr. Pawle Szuwałowie zamianowany hr. Osten - Sacken z Monachium. W Konstantynopolu Niemcy będą miały ambasadorem p. Saurmę.

Układy o pokój na dalekim wschodzie przerwał zamach na życie Li-hung-Czanga. Dwór, rząd i sejm japoński nie szczędziły oznak oburzenia w jedną, troskliwości w drugą stronę. Wypadek stał się w sobotę lub niedzielę. Sprawca nazywa się Rykonosuki.

BADANIA NAUKOWE.

„JAŹŃ ZBIOROWA"

(przyczynek do psychologii życia zbiorowego).

III.

Ktoś opisuje popłoch, sprawiany na stepach Texasu wśród bydła przez zamiecie śnieżne. „Pcha się ono łbami ku wspólnemu a idealnemu punktowi, wikła się nawzajem i zahacza o siebie swoimi olbrzymimi rogami. Trzoda, porwana obłędem, zaczyna w tempie coraz gwałtowniejszem wirować około pewnej osi, aż wreszcie, jeśli ktoś nie okiełzna popłochu, kończy się on dziką ucieczką. Ażeby do tego nie dopuścić, pasterze *en carrière* objeżdżają spłoszoną trzodę i na cały głos śpiewają; część pewna, równie konno, wrzyna się w środek gromady, przeciwdziała tam ogólnemu ruchowi, tu i owdzie odcina drobniutką trzodkę od przerażonej masy i uwodzi ją od miejsca szału. To osłabia poczucie gromadne bydła i rozprasza ześrodkowaną na jednem uwagę zwierząt, już częściowo ujarzmioną przez chóralny śpiew *cowboy'ów*."

W powyższym wypadku, zaczerpniętym z życia zwierząt, wszystkie rysy, właściwe napiętej jaźni zbiorowej, wyszły na jaw w całej swojej potędze. Trzoda jest tam jestestwem faktycznem, realnem. Chociaż składa się z mnóstwa okazów odrębnych, stanowi przecież teraz jedną istotę, która, porwana powszechnym szałem, poszukuje wspólnego punktu ciężkości — ogniska jakby swego bytu zbiorowego, później zaś w popłochu biegnie przed siebie i niekiedy wpada w przepaść i ginie w jej czeluściach. Na ten lęk powszechny jest tylko jedno lekarstwo, to, którego używają pasterze, nauczeni doświadczeniem. Trzeba rozciąć tam węzeł duchowy, wiążący pojedyncze sztuki bydła w jaźń zbiorową, zniszczyć ową siłę strachu, pędzącą gdzieś na oślep przerażoną trzodę, śpiewem chóralnym przeciwdziałać rosnącej wśród zwierząt monoideistyczności i wreszcie przełamać ów zwarty a żywy mur cielska, odejmując mu gromadkę po gromadce. Na stepach Texasu szaleje przed nami jakby stworzenie kolektywne, które w zbiorowym obłędzie utraciło powściągliwość krytyczną, bielmem pokryło świadomość indywidualną i pojedyncze istoty zamieniło na proste cząstki ciała zbiorowego.

Człowiek daleko odbiegł od zwierzęcia: myśl jego wiąże przyczyny i skutki w nieskończone pasma następczości; nałożył on na swoje namiętności hamulce moralne, odruchowość pierwotną poddał pod władzę rozsądku. (Ale ilekroć znajdzie się zaprzęgnięty w jaźń zbiorową, równie traci właściwości swojego umysłu i staje się, jako proste zwierzę, bezmyślnym składnikiem gromady. Przed naszą wyobraźnią przesuwają się potworne obrazy obłędów dziejowych: korowody hasają na mostach, ten i ów pada ze znużenia i więcej nie wstaje, pozostali zaś przy życiu w tempie rytmicznem depczą może jeszcze półżywe-trupy; zakonnice w klasztorze rzucają się na siebie, drapią i gryzą; kobiety w dolinach Piemontu włażą na dachy i tam urządzają kocie rauty; biczownicy przeciągają przez Europę przy ponurych dźwiękach hymnów pokutnych i katują swoje ciało; popłoch ogarnia odważne rycerstwo, które na nic nie baczy i masowo ucieka z placu bitwy.

Zatrzymajmy się nad paru wypadkami konkretnymi.

Atapaskowie, plemię czerwonoskóre, najbardziej posunięte na północ, cierpi często na zbiorowe halucynacye, zwłaszcza niektóre jednostki odznaczają się chorobliwą nadwrażliwością nerwową. Ta czułość, niby zaraza, udziela się otaczającym i zniewala ich do postępków najbezmyślniejszych. Zdarza się np. w porze letniej, że całym obozem owłada niewysłowiony popłoch, który junaków za-

---

go odpędzić, ty jeden porwałeś oszczep i wyszedłeś ku niemu.

Arjos.

To był lew, a tam są Mirowie, którzy naszych ludzi i zwierząt nie napadają.

Moron.

A czy nasz głód nie jest ich kłem i pazurem? Czy nie oni zagrodzili nam urodzajną ziemię, której bóg im nie podarował? Arjosie, spójrz przed siebie, ogarnij wzrokiem te ich chlebne pola i bujne łąki, tę ziemię, którą zdaje się krajać i jeść można. Im gaje użyczają orzeźwiającego cienia, a my mamy tyle zaledwie drzewa, ile potrzeba dla ułożenia stosu ofiarnego Już przez dziesięć obrotów słońca nie włożyliśmy do ust gotowanej strawy, a oni palą ciągle ogniska dla odpędzenia komarów. Ich trzody podściełają sobie na spoczynek miękką trawę, nasze wyciągają z rozpalonego piasku zwiędło korzonki perzu. I ty im nie zazdrościsz, ciebie nie ogarnia gniew, szał, męstwo?...

Arjos.

Nic.

Moron.

W twoim ojcu, dopóki żył, poznawałem nasienie moje, w tobie nie mogę poznać nasienia jego. Kto stanął między nim a twoją matką, gdy cię poczęła?

Arjos.

Nie wiem.

Moron.

Zatęchła w twoich żyłach krew naszego rodu, podczas gdy ja myślałem, że jest świeża. Straszny zawód! I to ty jesteś Arjos, któremu daliśmy imię pierwszego rodzica, z nadzieją, że on się w tobie odrodzi?

Arjos.

Mirowie powiadają, że Arjos był dobroczyńcą ludzi.

Moron.

Niech im języki żar słońca spali na zeschłe liście, niech przed nimi każde źródło wody w ziemię ucieknie, niech nie znają innego światła prócz piorunujących błyskawic, niech im zaraza zmiesza się z wonią najponętniejszych kwiatów!..

Arjos.

Czy i tę klątwę, arcykapłanie, bóg przez ciebie wyrzucił?

Moron.

Tak, bóg znienawidził to plemię, które go się wyparło. Ty myślisz, że on słowami głaszcze i pieści? On jest panem, więc zna tylko sługi, on jest wszechwładzą, więc ma tylko poddanych, on umie być także strasznym i okrutnym. Ty myślisz, że on objawia się cały przez tęczowe światła i przez strojne dźwięki? On przywdziewa także ciemność na oblicze i przemawia rykiem, gdy nim gniew zatrzęsie. Jam stworzył świat wielki i piękny, ażeby go w nim ludzie łatwo rozpoznawali; tymczasem oni tak zapatrzyli się w dzieło, że nie widzą jego twórcy. Ty takim jesteś, Arjosie, poganinie, bałwochwalco, czcicielu chmur, gwiazd, zórz, słońca, wszystkiego, tylko nie boga. Jeżeli chcesz go poznać, zrozumieć, jakim jest, chodź ze mną do tej świątyni, gdzie on widomy i niewidomy przebywa, gdzie spoczywa w kamieniu wyryta, czysta, prawdziwa jego wola.

Chwycił Arjosa za rękę i pociągnął go do świątyni, wykutej w skale. Szybko odchylił przy wejściu ciężką zasłonę ze skóry, po za którą u stropu zawieszona mała kamienna lampka, napełniona wołowym tłuszczem, słabo rozpraszała mroki obszernego wnętrza i zaledwie pozwalała dojrzeć ogromną skrzynię, stanowiącą ołtarz, na którym stał drewniany, przerażający potwornością i obrzydgany krwią posąg boga.

mienia na tchórzów i wywołuje dreszcz strachu przed nieistniejącym nieprzyjacielem. Ktoś zaczyna uciekać z obozu, za jego przykładem idzie drugi i trzeci, aż wreszcie wszyscy obecni biegną przez przerwę na złamanie karku, ścigani przez siłę urojoną. Pétitot nie podaje szczegółów, któreby rzuciły jaśniejsze światło na naturę tej jaźni zbiorowej, przejętej lękiem. Natomiast czasy średniowieczne dostarczają bez liku przykładów, pozwalających poddać bliższej analizie taki popłoch gromady. Sromotne ucieczki odważnego rycerstwa przy najściu na świat chrześciański mongołów, masowe tchórzostwo krzyżowców, ciągnących przeciwko zbuntowanemu chłopstwu husyckiemu, to czyny natury analogicznej. Doborowi rycerze, w liczbie 150 tysięcy, zwołani przez Stolicę Apostolską ze wszystkich krańców katolicyzmu, rozkładają się obozem w nizinach Czech, ufni, że zgniotą za jednym zamachem „hołotę“ husycką, uzbrojoną tylko w proste kije, kosy i cepy i wynoszącą co najwyżej piątą część zastępów przeciwnika. Zdawałoby się, iż wybiła ostatnia godzina heretyków. Tymczasem działo się inaczej. Nie mówimy już o popłochu, rzucanym na krzyżowców przez tak wytrawnego wojaka, jak Żyżka. Historyków raczej zastanawia zachowywanie się rycerstwa względem prostego magistra teologii, Prokopa Wielkiego. Wojsko prawowierne staje w szyku wojennym pod Tachowem, ale zaledwie ukazały się na widnokręgu zastępy husytów, konnica, okuta w żelazo, pierzcha na widok cepów! Nuncyusz papieski zastępuje drogę, rozwiesza godła cesarskie, błaga — nadaremnie, aż wreszcie sam wpada w przestrach. Popłoch rycerski wygląda jeszcze gorzej w innej potyczce, bo dosyć było, ażeby na skrzydłach wiatru doleciały odgłosy hymnu taboryckiego, śpiewanego przez nadciągającą armię Prokopa, już rycerstwo rzuciło bogate namioty na pastwę wrogów i rozpierzchło się na wszystkie strony, do tego stopnia zaślepione strachem, że pojedyncze oddziały wpadają na hufce husytów. Zawsze przed oczami historyka roztacza się w tych razach jaźń zbiorowa. Ona to sprawia, że odważny rycerz zachowuje się jak najnikczemniejszy ciura obozowy. Każdy z krzyżowców, hańbiący swoje imię szlacheckie w sromotnej ucieczce, oddzielony od gromady, przeniósłby śmierć nad ocalenie życia w taki sposób i wzorem Rolanda zginąłby, zmożony liczbą wrogów. Ale odurzony w powszechnej atmosferze obawy przed heretykami, zaplątany duchem w spłoszonej tłuszczy, zapomina o wszystkiem; co więcej, nawet ów bohater, tylko co wymieniony, z czasów Karola W., może nie uniknąłby ogólnego losu, gdyby znalazł się na polu takowskiem. Indywidualność ludzka, tak bogata w odmienne nastroje i instynkty, tak spętana hamulcami moralnymi i poczuciem honoru, postradała te wszystkie nabytki: po nad jej duchowem jestestwem zapanowała tylko idea bojaźni i tysiące śmiałków powiązała w stworzenie zbiorowe — tchórzliwe, lękliwe, bezmyślne. Nie nuncyuszów papieskich trzeba tam było, ani godeł cesarskich, nie piętnowania serc bojaźliwych i nawoływania do obowiązku, ale texaskich *cowboy'ów*, którzyby z knutami w ręku rzucili się pomiędzy tłuszczę, rozbili ją na gromadki, te zaś na pojedynczych, świadomych swojej indywidualności wojaków. Tłum przekształcił naturę człowieka. Z duszy odważnego wyrwał męztwo i rozdął do potwornych rozmiarów spoczywające tam zarodki tchórzostwa. Natomiast po stronie husyckiej dzieje się odwrotnie. Zwykły kmieć, który nie posiada najmniejszej wprawy w robieniu bronią, staje się w gromadzie bohaterem. Obóz taborycki — to jaźń zbiorowa, systematycznie ćwiczona przy śpiewie psalmów, bezustannie wiązana wspólnem spożywaniem sakramentu Ciała i krwi Pańskiej; podniecana przez słowa kaznodziejów i głoszony w nich ideał wzajemnej miłości i równości, wreszcie upojona poprzedniemi zwycięztwami. Usypia ona wszystkie nastroje w obozie husyckim, prócz tych, które są potrzebne do zwycięzkiej obrony praw swoich. Tam w Czechach, w gruncie rzeczy, mamy przed sobą dwie jaźnie zbiorowe, ścierające się nawzajem: jedna, stale niemal istniejąca, ufna w prawość swojej sprawy, rzuca postrach na przeciwników, którzy ściągnęli zewsząd na grabież; druga — masowo podlegająca temu popłochowi. Ta przeciwstawność daje może jednę z ciekawszych stron psychologii zbiorowej, najmniej opracowaną, chociaż powtarzającą się ciągle. Pod Valmy bosa hołota sankiulocka, rozentuzyazmowana swoją sprawą, rozbija weteranów Fryderyka II i niesławą okrywa imię takiego doświadczonego strategika, za jakiego uchodził książę brunświcki. Idea staje się w tych wypadkach potęgą materyalną, jakby szczególnego rodzaju orężem wojennym.

Gromada przekształca człowieka. Jak wiatr z drobnego zarzewia w popielisku zdoła rozdmuchać wielki pożar, tak samo w duszy pojedynczej osoby, która weszła do organizującej się duchowo gromady, żądze, pokryte warstwą nieświadomości, albo odwrotnie szlachetne pobudki, w zwykłym trybie nieobecne, przeradzają się w namiętność, która burzy dotychczasową równowagę indywidualną, lawą swoją zalewa i dusi wszystkie inne głosy i opanowywa człowieka, zaplątanego w oczkach sieci kolektywnej. Różnice osobiste tam znikają: junak i tchórz, altruista i sobek, chłodny analityk i entuzyasta schodzą do wspólnego mianownika. Charakter jednej osoby, to szereg odmiennych instynktów

$$a+b+c+\ldots\ldots z,$$

drugiej $\frac{1}{100}a+c+m+n,$

trzeciej $100a+\frac{1}{10}c+z+10z.$

ale w melodyi powszechnej, gdzie *a* stanowi ton zasadniczy, inne pierwiastki milkną, samo zaś *a* dąży u wszystkich do poziomu indywidualności, najwyżej tą właściwością ducha obdarzonej, doszedłszy zaś, rozpędza się dalej i pod wpływem rozebranego już przez nas oddziaływania wzajemnego przekracza tę granicę. Gromadą owłada nastrój, którego tonem zasadniczym jest *a*, wielokrotnie spotęgowane po nad brzmienie najwyższe tego pierwiastku, właściwego komuś z obecnych w normalnym stanie osobowym.

Ów żywioł duchowy, rozbrzmiewający w jaźni zbiorowej jako podstawa melodyi kolektywnej, stanowi podobnie różnorodną gamę, jak różnobarwną jest dusza ludzka. Może to być bojaźń lub odwaga; krwiożerczość albo litość, obłęd i ekstaza. Zawsze jednak natura gromady jest jednaka: osoba tam nie odpowiada i odpowiadać nie może za swoje czyny. Są zbrodnie zbiorowe, wobec których karząca ręka sprawiedliwości jest bezsilna, bo zaprawdę nie wie, w kogo ma ugodzić. Istnieje w świecie występku typ szczególny: pospolitego rzezimieszka. Tchórz to nikczemny, który pewnie na nikogo nie napadnie, do rozboju się nie posunie, bo jest zanadto bojaźliwy. Kiedy idzie o dokonanie czynu śmielszego, łączy się w gromadę i nabiera w niej odwagi. Banda takich złodziejów, złożona z wyrostków, wyłamuje w pewnej willi pod Paryżem okno, ufna, że dom jest pusty. Omylili się, bo odźwierny śpi w pokojach. Dochodzi do morderstwa; obnażono trupa, malcy pastwią się nad nim, w rany krwawe wstawiają świece, zapaliwszy je zaś, zaczynają tańczyć i wyprawiać ohydną orgię nad ofiarą. Żaden z uczestników, pojedynczo

---

Oprócz mnie, jesteś pierwszym człowiekiem, którego stopy i oczy dotknęły tego miejsca. W tym ołtarzu leżą cegły gliniane, w których bóg palcem wypisał swoje przykazania. Wysłuchaj prawdy. Gdy lud nasz, idąc tu, błąkał się w pustyni, stracił drogę, nadzieję, rozum, wiarę i już zaczął rzucać ku niebu rozpaczliwe pomruki, nagle ujrzał w oddali na widnokręgu ognisty słup, u dołu szeroki a u góry śpiczasty. Pospieszył ku niemu, ale w miarę jego zbliżania się światłość gasła, wreszcie znikła zupełnie. I oto stanął przed słupem, ułożonym z cegieł glinianych, pokrytych pismem, z których górne obrócone były na zewnątrz stroną zapisaną, a dolne — pustą. Domyślił się, że bóg chciał, ażeby jego wola, wyryta w pierwszych, była znana całemu ludowi, w drugich — tylko kapłanom. Zabrali wędrowcy ze czcią wszystkie i przynieśli tutaj. Te, które odczytujemy ludowi, stoją po za posągiem boga; te, które ja odczytuję z po za zasłony kapłanom, leżą w ołtarzu.

Moron otworzył wieko skrzyni, ukląkł i modlił się:

Panie, pozwól temu synowi syna mojego wejrzeć w tajemne przykazania twoje, ażeby one odcisnęły się w jego sercu i nauczyły go przewodniczyć ludowi, gdy zdmuchniesz nikły płomyk starego życia mojego.

Powstał i wyjął pierwszą cegłę.

Arjosie, to mówi bóg:

„Jam jest przez siebie, a wszystko przez niego.

Upodobał sobie ród Wirów, jako swoje ramię i jako swój oręż.

Ramieniowi swojemu dał siłę, orężowi swojemu dał ostrze.

Jak on ogarnął niebo, tak lud jego ogarnie ziemię.

Cokolwiek nie oddycha chwałą Jama i nie oddaje się synom Wira, zniszczone być ma aż do korzenia.

Ktokolwiek rzeknie: Jam nie jest, albo: Jam nie jest moim bogiem, albo: ród Wira nie jest ludem Pana, albo: lud Wira nie jest panem ziemi — zgładzony być ma aż do niemowlęcia.

Ucałował z czcią cegłę, złożył ją i wyjął drugą.

Wyrosło drzewo grubego pnia i rozłożystej korony.

Jedne jego gałęzie biegły zdrowo ku niebu i rodziły owoce słodkie, inne jego gałęzie obwisły ku ziemi i rodziły owoce kwaśne lub gorzkie. Trzeba odciąć drugie, ażeby nie zabierały soków pierwszym.

Ród Wirów jest gałęzią zdrową.

Jam błogosławi go na wieki wieków.

Z rodu tego wyjdą kapłani i prorocy, którzy będą na krzewie ludzkim jagodami, napełnionemi sokiem Jama.

Przez ich źrenice wpadać będą promienie jego światła, a ich dusze będą gwiazdami.

Oni zrozumią zarówno huk piorunu, jak i pisk świerszcza, bo przez wszystkie stworzenia mówi Jam.

Znowu ucałował i ułożył cegłę, a wyjął trzecią.

Nie bądźcie jako płatki róży czuli, ale jako jej cierń twardzi.

Cierń rozkwita, gdy kropla krwi na nim zawiśnie.

Kwitnijcie, jako on, w walce za boga swego i ród swój.

Krew wrogów w tej walce rozlana pachnąć będzie Panu wonniej, niż róże.“

wzięty, nie dopuściłby się zbrodni, w gromadzie zaś doszli oni do niesłychanego okrucieństwa. I wypadki, kiedy żołdactwo zdobywa miasto i od rzezi przechodzi do ..., pijane zwycięztwem i krwi zapachem, to są czyny takiego samego szału zbiorowego. Gdzie kryminolog ma wyszukiwać winowajcy? Tarde z tego powodu gdzieś czyni uwagę następującą: „Pewna gromada ma tylko jedną ideę — tę, jaką jej poddano. Idea owa, wskazówka mniej lub więcej rozsądna zamierzonego celu lub najodpowiedniejszego środka, acz przechodzi z jednego mózgu do wielu, pozostaje jednaką: ten, kto ją poddał, jest więc odpowiedzialny za jej skutki. Ale emocya, która towarzyszy danej idei i wraz z nią się rozszerza, bynajmniej nie jest niezmienną, bo po drodze swojej wzrasta stopniowo. Umiarkowana rada lub chwiejne jeszcze zdanie inicyatora staje się niebawem oszołomiającą namiętnością lub przekonaniem, nienawiścią lub fanatyzmem — w gromadzie, której je poddano. Napięcie emocyi, która miota tłumem i pcha go do ostateczności w kierunku dodatnim lub ujemnym, to dzieło samoistne, płód wzajemnego podniecenia duchów indywidualnych, które weszły w zetknięcie przez wzajemne oddziaływanie.“ A zatem — wyrokują kryminolodzy — za zbrodnię zbiorową odpowiada jedynie podżegacz i tylko w takim stopniu, w jakim sam zamierzał działać, nigdy zaś na jego rachunek nie wolno kłaść skutków rzuconego podszeptu. Nie zawsze jednak! Bo czyż ów inicyator zbrodni, podsuwający czyn choćby najpodlejszy, nie działa już upojony jaźnią zbiorową? Zostawmy kryminologom dalsze dociekania nad tem pytaniem, podkreślając tutaj tylko ostatni wynik ich studyów, mianowicie nieodpowiedzialność osoby pojedynczej, pociągniętej przez tłum — zarówno za dobre, jak za złe czyny. Zbiorowy bohater, to jeszcze nie bohater; tchórz, pierzchający w gromadzie, nie jest jeszcze tchórzem; zbrodniarz, uczestniczący w występku zbiorowym, nie koniecznie musi posiadać duszę zbrodniczą. To wszystko biedne atomy, porwane przez odmęt zbiorowości i tam postępujące nie według swojej woli, ale może na przekór wszystkim głosom własnego rozsądku i własnej uczuciowości. „Ojcze wielebny, odejdź — wołają gdzieś do kapłana tłumy, napadające na żydów—inaczej nie możemy, chociażby nas wywieszano i poćwiartowano!“ Może niema namacalniejszego dowodu, że postępków gromady, owczym pędem idącej za pewnym podszeptem, bynajmniej nie należy kłaść na karb jednostki, nad sławną w dziejach francuskich noc 10 sierpnia. Arystokracya rodowa, porwana uniesieniem, z trybuny ciała prawodawczego zrzeka się przywilejów feodalnych i przekazuje do archiwum dziejowego najdroższe wspomnienia rodowe. Odtąd we Francyi nie będzie ani panów ani tytułów: „książę i markiz,“ ani ludu, bo będzie tylko jednolity naród, złożony z milionów obywateli równouprawnionych. Mirabeau był nieobecny, a zatem pozostał przytomny. Nazajutrz czyni on wymówki swoim przyjaciołom politycznym: tydzień upłynie, nim Europa się dowie, iż pod nieznanem dotychczas nazwiskiem Riquetti'go ukrywa się on, wielki Mirabeau, władca serc ludzkich! Trzeźwość jego to stan ducha, jaki w parę dni później nastanie u wszystkich aktorów zbiorowego entuzyazmu. Każdy z nich, z wyjątkiem paru arystokratów, którzy postępowali zgodnie z ideą, zdawna pielęgnowaną w umyśle, uczują duchowy *Katzenjammer* po upojeniu gromadnem i zaczną czynem odwoływać swój postępek w owej pamiętnej nocy. To byli nie bohaterzy, ale bierne ogniwa jestestwa kolektywnego, owego *être spinal et gangrinaire*, co na chwilę zagłuszyło zwykłe głosy duszy indywidualnej i popchnęło do postępków, później żałowanych.

Człowiek więc w gromadzie przestaje być sobą, oddycha namiętnościami, których nie zaznał w życiu indywidualnem, traci powściągliwość krytyczną, przewodniczącą jego postępowaniu. Po nad jego wolą panuje obszerniejsza, żywiołowo tworząca się drogą odruchu, po nad jego mózgiem powstał mózg „inicyatora,“ zresztą nieposiadający właściwości indywidualnych. Zjawiło się stworzenie kolektywne, które postępuje według swoich zasad i nie pyta o zdanie indywidualności, które na nie się złożyły. *L. Krzywicki.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

L. Henry: *The War-Atah* 1894.— *Wskrzeszenie poezyi mitologicznej.*

Gdy czytamy „Fausta“, zachwyca nas nie tylko potężny rozwój ducha jednostkowego, ale zarazem nieskończone przestwory ludowej psychologii niemieckiej, pełne mgieł, otchłani i gór, przyodzianych w lasy.

Psychologię ludów europejskich i azyatyckich potroszę już wyzyskały poezya i sztuka. Nastąpiła kolej ludów niehistorycznych Ameryki, Afryki i Australii. Profesor szkoły sztuk pięknych w Sydney'u, L. Henry, podjął zadania względem tej ostatniej części świata. Potężne i dziwne piękno jej flory, fauny, zwyczajów i podań, posłużyło autorowi za źródło świeżych natchnień i za materyał do dzieła, które zwróciło na siebie uwagę krytyki europejskiej. Przedstawia on jedną z legend teogonii australijskiej, pełną głębokiej treści filozoficznej. Poemat dzieli się na Noce.

Na początku pierwszej Timu, pan świata, odpowiadający greckiemu Jowiszowi, kłóci się z żoną, Kari, z powodu najmłodszego ich syna, Wara Promiennego. Pełen ognia i życia ma on kaprysy i fantazye potężnej, nieokiełznanej istoty, napełnia niebo hałasem swych szalonych wybryków, które wprawiają w zgorszenie wszystkich mieszkańców domu wieczności. Kari staje po stronie swego ulubieńca, który jej się wydaje piękniejszym i szlachetniejszym, niż inne dzieci. Timu rozgniewany wypędza żonę. Gdy ona z płaczem odpływa na puchu obłoków, rozlegają się grzmoty straszne: to War walczy z olbrzymami, którzy są na straży władzy ojcowskiej i jednego po drugim zrzuca w otchłań mroków.

Serce matki napełnia się radością z męztwa syna, ale zarazem strachem gniewu Timu. Przywoławszy swe wielkie czarne ptaki, które wloką jej rydwan w przestrzeni, udaje się w tajemnicze ustronia, aby szukać pomocy dla Wara.

Noc druga. Gwiazdy były nawpół przykryte przez obłoki. Wszystko szare i niewyraźne. Ze wszystkich stron przejrzyste tłumy zmor udają się do twierdzy Timu, który siedział gniewny, ze ściągniętą brwią, ręką niespokojną szarpał obłoki, jak puch z ptactwa. Milczenie było straszne. Szeregi zmor, przybywszy ze wszystkich krańców świata, otoczyły jego tron: to poddani Timu, istoty obłudne, podłe, ograniczone, zawistne. Wszystkie nienawidzą Wara, który niemi gardzi, wszystkie go oskarżają. To walka mroków przeciw światłu. Ich jadowite słowa przekształcają i brudzą wszystkie jego czyny i myśli, przypisują mu najgorsze zamiary. Timu ogarnia wściekłość. Każe przyprowadzić Wara. Ten, wysłuchawszy ojca, odsłania swych wrogów, piętnuje ich po-

---

Olśniony nie widzę słów świętych, ty czytaj dalej.

Arjos wziął do ręki tablicę i czytał.

Arjos.

Serce moje było ponurym przybytkiem milczącej pustki; gdy ona do niego weszła, stało się jasną i brzmiącą hymnami świątynią żywego bóstwa. Każdy dzień rozpoczynam i kończę myślą o niej, jak wierni modlitwą do boga. Jak prorokom bogowie, tak mnie ona schodzi do duszy i składa w niej najlepsze myśli i uczucia.

Moron.

Co ty czytasz?

Arjos.

Błąkając się w pustyni, spostrzegłem pewnego dnia, że serce mi gore jakąś światłością. Gdy wpatrzyłem się, ujrzałem na niem wyryte słowa, które teraz z niego czytam.

Moron.

Dokończ.

Arjos.

Za nic goręcej nie powinienem dziękować stwórcy, niż za to, że ona istnieje.

Jak wszystko, co mądre, przypomina boga, tak wszystko, co piękne, przypomina ją. Bóg uczynił mi ją w dniu słońcem, w nocy — gwiazdą, w burzy — przybitą na niebie błyskawicą. Odtąd nie błądzę.

Na innych kobietach pozostawił słabe ślady swych przelotnych dotknięć, na niej — znamię czułego pocałunku.

Powracającym z ziemi do nieba ludziom odbiera postacie w życiu oszpecone i daje im świeże. Tylko jej postaci nie zmieni, bo ona przyniesie mu piękniejszą, niż otrzymała.

Moron.

O kim ty mówisz? Kto ona?

Arjos.

Idź tam za rzekę, do Mirów, i mów: Kwiaty, widząc ją, przystrajają się nowemi barwami według jej uroków. Słowiki siadają na drzewach przy jej domu i kołysząc ją do snu coraz dźwięczniejszą pieśnią, zbogacają swój śpiew nowemi melodyami. Gwiazdy usiłują oderwać się od nieba i przypiąć się do jej szat, jako klejnoty. Trawy, na których spoczęła przez chwilę, mdleją z upojenia. Potok, który odbije jej postać, staje i pragnie zatrzymać w swem zwierciadle jej obraz, a gdy go straci, płynie dalej strugą łez i dotąd pod nachylonemi ku niemu i pocieszającemi go wierzbami żałośnie płacze, dopóki jej znowu nie zobaczy. Mów tak, Moronie, a kwiaty, słowiki, gwiazdy, trawy, potoki powiedzą ci, kto ona.

Moron.

Niech będzie przeklęta, kimkolwiek jest, niech ją wszystkie nieszczęścia wydzierają sobie za to, że wyrzuciła z duszy twojej boga i weszła do niej sama, że odcięła cię od twego rodu i przywiązała do siebie.

Arjos.

Ona nie prosiła, ażebym ją czcił i kochał, jak nie prosi bóg.

Moron.

Precz, precz stąd, bluźnierco! Niech ziemia zadrży ze wstrętu, ile razy na nią stąpisz, niech powietrze gęstnieje ci przed ustami w kamień, ile razy takiem słowem je dotkniesz... Precz!

(D. c. n.).

dłość, przepowiada przyszłość i promienne losy świata.

Chóry widm i zmor odpowiadają przekleństwy i złorzeczeniem rozbestwionego tłumu.

War przybiera wobec nich już nie pozy genialnego dziecka, jakiem był dotychczas, lecz wspaniałego boga, promieniejącego światłem. Przestraszony Timu skazuje syna na wygnanie do świata mroków. War jest zbyt pewny siebie i przyszłości, by odpowiedzieć natychmiastowym rokoszem i jest posłuszny—z wściekłością.

Noc trzecia. War, rzuciwszy się w przestrzeń mroków, przebiega ją słupem ognistym; rzucając światło i zarodki życia tam, gdzie poprzednio był chłód śmierci. Porywa za sobą ciała niebieskie, które dotychczas przebywały w ponurem milczeniu grobów. Dążył wciąż naprzód, wołając tylko od czasu do czasu: „Matko! Matko!“ głosem, który przenikał strachem wszystko, co żyje. Lecz tylko milionowe echa mu odpowiadały. War jest oślepiony boleścią i gniewem, nienawiścią podłych wrogów, przed którymi musiał ustąpić. „Matko! Matko!“, wołał, wyrywając sobie garście płonących włosów, które rzucał w przestrzeń, szarpiąc pierś do krwi. I pędził dalej, jak błyskawica w obłoku, prowadząc za sobą miriady słońc, które jego tchnienie rozpaliło, pędził wściekły, druzgocząc i niszcząc wszystko, co napotkał po drodze.

Naraz spostrzegł łagodne, błyszczące światło gwiazdki Atah, którą kochał. Powiada mu ona iż Kari, matka, której szuka, rozpłynąwszy się w łzach swego smutku, zamieniła się na rzekę. Wkrótce za wskazówką Atah, odnalazł tę rzekę łez perłowych, której fale zdawały się szlochać żalem i tęsknotą.

War pała chęcią zemsty. Pośród gwiazd, które go otaczają, poznaje olbrzymów przemienionych na gwiazdy: przysłał ich Timu, dla zguby syna. War ustawia ich w formie kuli, której środek sam zajmuje, wyrywa sobie garść płonących włosów i rzuca ją w przestrzeń. Kula się rozpala, tworzy wielki stos płomienny, który ostatecznie się rozpryskuje olbrzymim snopem iskier w przestworzach.

Pozbawiony wrogów, War pędzi dalej, rzucając wzrok pełen żałości na rzekę łez i skierowany uczuciem na południe, gdzie jego Atah płonie wstydliwem światełkiem.

Atah, pod wpływem żądzy połączenia się z Warem, opuszcza wystraszoną konstelacyę i biegnie na spotkanie ukochanego. Upojony radością, młody bóg rozumie nareszcie, iż miłość jest jedyną drogą, prowadzącą do zbawienia i wyrzeka się środków nienawiści nawet w walce z wrogami. „Niechaj wszystko istniejące będzie błogosławione na zawsze! — woła. Dreszcz najwyższego szczęścia napełnia mi serce. Nawet przeszłość jest mi słodka! Była ona stopniem, wznoszącym mnie ku chwili obecnej i ku promiennym horyzontom olśniewającej przyszłości. Atah! Miłość jest wszystkiem! Miłość i nadzieja, nadzieja i miłość! Gdy me żale, me zgryzoty, życie pełne poświęcenia i miłości okupią mą przeszłość, gdy me dumania i czyny wysuszą w rozległej przestrzeni rzekę łez mojej matki; gdy ona płynąć przestanie, pochłonięta twą i moją miłością, wówczas będziesz królową nieskończoności, panią mroków, tą, która w mojem objęciu będzie snuła szczytne marzenia szczęścia powszechnego.“

Lecz Atah jest nietylko miłością, ale także litością; opowiada kochanemu co następuje: Podczas całopalenia olbrzymów, wysłanych przez Timu, jeden z nich, Paouri, wymknął się z kuli płonącej i po długim locie spadł na ziemię, spaloną jego żarem; jej mieszkańcy odrazu poczernieli. Trup Paouri, ulegając rozkładowi, zadżumił wkrótce kraj cały, niegdyś rozkosznej Oceanii, jego krew zepsuta płynie długiemi strugami roztopionego złota i przed zniknięciem w łonie ziemi, kazi wszystko naokół... Wołania rozpaczy tej ziemi nieszczęsnej wzniosły się aż do Atah.

Na jej prośby War puszcza się ku Oceanii. Na znak miłości i zbawienia całuje nieszczęśliwą ziemię, którą przebiega dreszcz szczęścia i odrodzenia. Z pocałunku tego wyrosły wspaniałe kwiaty, które nigdy pod innemi niebiosami kwitnąć nie będą. War zrywa jeden z tych purpurowych kwiatów i wznosi się napowrót ku ukochanej.

„Panie — zapytuje Atah — ten kwiat, znak pojednania między tobą i światem, czyś go nazwał?

„Nie“ — odpowiada War.

„Niechaj więc — woła drobna boska gwiazdka—nosi nazwisko, utworzone przez nasze imiona, niech się nazywa *War-Atah.*“

Jak widzimy, jest to nowe i oryginalne przedstawienie walki dobra ze złem, łączące jakby myśl Eschylosa z myślą Shelleya.

Zło, zwalczane dotychczas przez sprawiedliwość i odwet, ustąpi dopiero przed miłością. Kwiat War-Atah, wyrastający w końcu poematu, jest symbolem zlania litości i potęgi w jedną doskonałą miłość ogólno-ludzką. Wola Wara jest wszakże tylko jednym z czynników długiego rozwoju, gdyż nad nim również, jak nad Timu, panuje nieubłagana moc losu, konieczność. Kari przedstawia ludzkość.

Wskrzeszenie poezyi mitologicznej jest zadaniem nadzwyczaj trudnem, musi ono jednak wcześniej czy później być dokonane. Mitologia, to nie retoryka, lecz stan ducha. Człowiek pierwotny, tworząc swe epopeje, nie zajmował się kleceniem przenośni i form stylistycznych, wyrażał tylko naturalny swój pogląd na świat, który polegał na ożywieniu całej natury i obcowaniu z nią. Podstawą psychiczną tej twórczości było niezbyt wielkie zróżniczkowanie władz duchowych: rozum, uczucie, wyobraźnia i wola pracowały razem. Weźcie człowieka dzikiego: w jego stosunkach względem bliźnich uczucie gra pierwszorzędną rolę na każdym kroku życia. Cywilizacya, rozwój społeczny doprowadziły podział pracy w czynności władz duchowych. Człowiek kulturalny wciąż i coraz więcej kieruje się wyrachowaniem, analizą, uczucie chwilami tylko przebłyskuje. Nie mówimy już o podziale pracy społecznej, która jeszcze bardziej przyspiesza ten proces rozdarcia pierwotnej jedności człowieka, poświęcając jednych wyłącznie pracy umysłowej, drugich — fizycznej, nareszcie małą tylko garstkę — specyalnej hodowli uczuć lub wyobrażeń.

Pierwotna jedność duchowa znikła i dlatego źródło mitologii, które tryskało niegdyś tak obfitym zdrojem piękna, wysiąkło. Nasze przenośnie i ozdoby językowe, których na każdym kroku życia dotychczas używamy, są anachronizmem, pozostałością pierwotnego stanu harmonii, ktora już rozbrzmiała, i dlatego nasze przenośnie należą do retoryki.

A jednak tak głęboką jest potrzeba odbudowania jedności naszego ducha, iż cała poezya i sztuka ku niej jest skierowana. Najwięksi poeci ożywiają naturę. Świadectwem Goethe, Byron, a głównie Shelley.

Jeżeli Byron w „Manfredzie“ każe przemawiać duchom lodowców i podziemi, nie jest to bynajmniej wysiłkiem retoryki, lecz oddalonym odgłosem tej pełni i harmonii życia duchowego, która była niegdyś źródłem mitologii. To też my przystępujemy do czytania „Manfreda“ lub „Prometeusza rozpętanego“ nie z chęcią odgadywania łamigłówek stylistycznych, lecz w oczekiwaniu niewymownej misteryi. W tem jest niewątpliwie coś religijnego. Religia, jako wiara pozytywna, prawdopodobnie odegrała swą rolę, lecz jako uczucie, jako oddźwięk na zagadki bytu — nietylko w formie zachwytu, ale rozpaczy lub przeczucia — będzie wiecznem, nieustannem źródłem poezyi. Suchy i zadowolony materyalizm jest wyrazem krańcowego skaleczenia i zwyrodnienia duchów jednostkowych. Tęsknota ku odrodzeniu pełni i wszechstronności życia wyraża się w odrodzeniu sztuki mitologicznej, o którem marzyli niegdyś romantycy, w tem połączeniu uczonego i artysty, o którem niegdyś marzył Schelling i które obecnie coraz częściej w życiu napotkać można. Systemy metafizyczne, tak niedawno pogardzone, zyskują coraz więcej wyznawców i wielbicieli. Artystycznie posiadają one wartość pięknych architektur i służą za wyraz tęsknoty ducha ludzkiego ku nieskończoności. Mogą one stanowić podstawę przyszłej sztuki mitologicznej. Innem jej źródłem jest bliższe obcowanie z przyrodą, które może dojść do tak wysokiego stopnia ożywienia jej, jaki widzimy w „Prometeuszu“ Shelleya.

Nareszcie znaczną także rolę w tym zakresie odegra wskrzeszenie i wprowadzenie do sztuki mitologii ludów niehistorycznych. Przykład Henrego jest pod tym względem wielce obiecującym. Jego dzieło, pełne symbolów mitologicznych, przeniknętych filozofią, nie szkolną wprawdzie, lecz tą, która tryska z serca i fantazyi ras całych. Te źródła drogocennych materyałów poetyckich mogą być długo jeszcze wyzyskiwane. Tylko w ten sposób uwolnimy się może od tej haniebnej tyranii powieści i romansu, które panują tak niepodzielnie i niezasłużenie!

L. W.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Michał Bałucki, *Ciepła wdówka*, komedya w trzech aktach.

Pani Hortensya Stroińska miała męża tyrana, który ją głównie tyranizował tem, że był stary; ale był przytem i bogaty, zostawił więc po sobie „ciepłą wdówkę“ — stworzenie dobre, wesołe, próżne, jak każda kobieta, do celu życia dążąca, stworzenie żądne hołdów i nieprzebierające w nich i głównie hołdami tymi rozbawione. Wiek jeszcze do jarzma serdecznego sposobny, lecz serce znaleźć sobie jakoś nie może ujarzmiciela. W poszukiwaniu go właśnie zjechała pani Stroińska do Krynicy, gdzie lekarzem zdrojowym jest dawny, do posady dozgonnego jej towarzysza aspirant, dr. Bolimowski, człowiek poważny a surowy i czysty, w tłumie zaś gości znajdują się dwa nowoczesne „Jazony,“ jak ich nazywa Bałucki, dwaj głuptasie, przez Mordkę nawet tu ścigani: bracia Symforyan i Tymoteusz Jabłczyńscy. Krynica jest dla wszystkich. Przyjeżdża też do niej baron Pusz, znany już z szopki sowizdrzał, i nadskakuje teraz wdowie; przyjeżdża z dwiema córkami, Laurą i Florą, dwoma koczkodanami i niejaki Łapiszewski, obywatel ziemski, który wkrótce już obywać się zacznie bez ziemi, a chciałby się pozbyć jak najprędzej obu skarbów swego ojcowstwa. I ten znał niegdyś p. Stroińską, młodą jeszcze i pannę — i ten, na równi z Puszem i Jabłczyńskim i palić będzie do niej koperczaki, i to odrazu, od pierwszej chwili, jakby obiecujący dopiero młodzieniec na wydaniu. W Puszu poznaje szlachcic adonisa, który w Monachium drapnął od jego starszej córki. Obu Jabłczyńskim wiadomość ta bardzo na rękę: obaj są w sam raz osłami, aby się nią ucieszyć, ale zbyt już wielkimi osłami, aby z niej skorzystać.

Pani Stroińska ma przy sobie daloką krewną, Felę, którą troszkę jak dziewczynkę do towarzystwa najętą traktuje, ale tylko w zewnętrznem obejściu się, w pozorach; w istocie dobrocią swej natury i ją ogarnia, a czynem ostatecznym do-

wodzi szczerej dla niej życzliwości. W Monachium mieszka, jako malarz, bliższy już jej krewny, siostrzeniec Antoś, dzielny chłopak z krwi i temperamentu, ze świeżem jeszcze sercem i niezepsutym umysłem, tylko z gęby bez przerwy sypiący jedno od drugich dziwaczniejsze i samem brzmieniem swojem rozśmieszające wyrazy ze słownika cyganeryi artystycznej. W nudach ciepłego wdowieństwa przyszła p. Stroińskiej myśl: czyby się za niego nie wydać? Sprowadza go tedy dla zrobienia portretu — i czeka, co będzie. Antoś przyjeżdża i rzecz prosta, odrazu zapala się dla Feli. Stroińska, gdy inni koło niej skaczą, sama oblega Antosia. Malowanie portretów daje zwykle sposobność do traktatów miłosnych. Jest to równie ponętna i równie niebezpieczna kładka, jak lekcya fortepianu od nauczyciela, który jeszcze młodym być nie przestał. Ciotka robi propozycyę małżeństwa siostrzeńcowi. Ten przyjmuje ją śmiechem szczerej, młodzieńczej natury, a nie biorąc swego uczucia dla Feli zbyt dramatycznie, z miłym humorem młodości i poufałością, do jakiej nawykł sposobem życia — całuje ją w szyję tylko, niewinniej jeszcze, bo w sam karczek.

Na ten pocałunek wchodzi Fela, której serduszko nie mogło nie uderzyć w ton miłości na widok zajętego nią żywo, tak miłego i pięknego chłopca. Niespostrzeżona, ucieka. Już po jej miłości! Niegodziwiec! A ta ciotka! Jabłczyńscy zabawiają piękną wdowę, pozującą malarzowi, humorystyczno-satyrycznym poematem o Jazonach. Felki nie widać, ale przyjdzie, spotka się z Antosiem, w niewinność owego pocałunku uwierzy—i będzie szczęśliwą. Stroińska zaprasza wszystkich na swe urodziny. Antoś nauczył ją rozumu: sprowadza i Bolimowskiego. Zbierają się wszyscy — zakończenie komedyi — każdy z bukietem: i Łapiszewski, i obaj Jabłczyńscy, i Pusz; każdy złoży hołdy, sięgające po złote runo; każdy odejdzie z kwitkiem, bo p. Stroińska postanowiła połączyć już młodą parę i o samej sobie poważnie pomyślała. Przed rejentem—każdy komedyopisarz mago zawsze na zawołanie—pomiędzy malowaniem portretu a przyjęciem gości, zrobiła akt darowizny majątku na rzecz Antosia, który będzie teraz tak bogatym, że może nie zechce być już malarzem i kwitując ze sztuki i sławy, zadowoli się banalnem szczęściem ludzkiem w pożyciu z Felcią. I omyślawszy o innych, ciepła wdówka przypomniała sobie szczere uczucie, jakiem niegdyś ku niej gorzał Bolimowski, teraz jeszcze jej cichy wyznawca, i rękę mu swoją oddaje.

Od połowy aktu II natchnienie Bałuckiego słabnie, ale całość nowej sztuki, porównanej zwłaszcza z *Bajkami*, mimo to sprawia wrażenie dodatnie—w tym szczególnym rodzaju, dla którego najodpowiedniejszą nazwą jest może *Bałucyada*. Dla mnie, na mój sąd i wrażliwość, największą ma wartość w sztuce Antoś, postać niepowtórzona z komedyj dawniejszych, a sama w sobie chwytająca za serce, prawdziwa i ujęta w dość oryginalny charakter. Rozbiór szczegółowy wykazałby te zdrożności tektonicznego stylu Bałuckiego, z których wynikają zarówno nieprawdopodobieństwa i bawidełka zamiast żywej prawdy, jak i niewłaściwie lub niewłaściwie wywołane i wyzyskane sytuacye; lecz rozbiorem szczegółowym zajmować się tu nie będę. Sztukę taką, jaka jest, uważam za zasługującą na powodzenie.

Grali w niej: p. Barszczewska—ciepłą wdówkę, p. Wolski—Antosia, p. Frenkiel—Łapiszewskiego, p. Rapacki — Bolimowskiego, p. Prażmowski—Pusza. Sztuka nie mogła być źle odegraną.

Stanisław Krzemiński.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Niedawno zawiązało się we Lwowie Towarzystwo ludoznawcze — tak długo oczekiwane i bardzo pożądane. Bodziec do tego wyszedł od dr. Jana Karłowicza, który szczerze zajmował się tem, ażeby ludzi, pracujących na polu etnografii zgromadzić w jedno ognisko. Nie można powiedzieć, ażeby się tutaj nic nie czyniło w zakresie poznania świata ludowego. Robiło się, ale to do przeszłości należy. Dzisiaj ten lub ów idzie na ochotnika. Rehor, czech, opracowywa ten lub ów przedmiot z etnografii Galicyi wschodniej, dr. Udziela bada mazurów, St. Ramult zapuszcza się na Kaszuby. Ale to praca niezorganizowana, dorywcza, a prawdę powiedziawszy, w wielu bardzo gałęziach życia ludowego wprost niemożebna, gdyż opracowanie monograficzne wymaga materyału zgrupowanego, a takiego niema lub jest bardzo niedostateczny. Zbieranie materyałów, jak na teraz staje się, a raczej stać się powinno, według mego zdania, jedynym celem Towarzystwa ludoznawczego, tem bardziej, że materyał ten rok rocznie ginie lub przerabia się pod wpływem czynników cywilizacyjnych. Nie potrzebuję chyba określać naukowego znaczenia tego materyału. Przyszły badacz, który się w nim rozejrzy, odnajdzie nieznany nam dzisiaj, a jednak istniejący z nami i obok nas ciekawy, a odrębny i samoistny świat ludowy. Zawiera on niezawodnie wiele pierwiastków cywilizacyjnych zupełnie oryginalnych, własnych, stojących po za kołem dzisiejszej oświaty i uspołecznienia lub też myśli i pojęć, zmienionych do niepoznania. Warto go badać.

Na prezesa stowarzyszenia wybrano profesora tutejszego uniwersytetu, dr. Antoniego Kalinę. Wybór, trzeba przyznać, bardzo trafny, gdyż szanowny profesor zarówno wiedzą swoją, jak powagą i nauką potrafi skupić koło siebie rozproszonych pracowników lub miłośników etnografii, w całej rozciągłości. Zastępcą przewodniczącego jest p. Federowicz, obywatel z Okna, znany badacz ludu i jeden z tych nielicznych obywateli, który czynnie popiera bardzo piękną gałąź przemysłu ludowego — kilimkarstwo. Wybór wydziału nie zadowolił tutejszych kół z powodu, że weszli do niego żydzi; znaczna przeto część duchowieństwa usunie się niezawodnie od pracy, bo nie będzie wierzyć w szczerość roboty żywiołu najbardziej znienawidzonego przez lud i trzeba przyznać—słusznie. A jeżeli duchowieństwo poparcia swego nie da, o rozwoju Tow. ludoznaw. mowy nawet być nie może. Należy spodziewać się przeto, że niewłaściwość, popełniona na wstępie działalności, w krótkim czasie będzie poprawioną.

Mówiąc o Towarzystwie ludoznawczem, koniecznie trzeba mieć na względzie własny organ. Bez tego rozwój Towarzystwa prawie niemożebny, bo dla zebrania materyałów należy przecie szukać u kogoś przytułku. U kogo? Nasuwa się odpowiedź sama przez się: w wydawnictwach Akademii umiejętności, a względnie przy sekcyi antropologicznej. Niewątpliwie, Akademia trochę miejsca dla prac Towarzystwa poświęci, ale tyle tylko, ile zechce, ile będzie mogła, a nawet — ile będzie chciała. Ta okoliczność jest bardzo ważną, bo w takim razie mogą osobiste sympatye kierować tam, gdzie powinny ważyć tylko względy naukowe. Wiemy dobrze, że wielce uczony (po swojemu) prezes Akademii krakowskiej miewa muchy w jaśnie oświeconym nosie, a biedna nauka w Galicyi ma tak wiele przeszkód do zwalczenia, że trudno ją narażać na walkę z muchami — chociażby pana hrabiego. Sympatye i antypatye pana prezesa Akademii są tak fantastyczne, że on, jak Pan Bóg — tylko trochę inaczej — z niczego tworzy wielkich ludzi jednem pociągnięciem swego jaśnie wielmożnego pióra. Trudno przeto na łaskę uczonego, który wierzy tylko w naukę własną i swoich przyjaciół politycznych, oddawać losy Towarzystwa naukowego.

Powyższe względy mając na uwadze, sądzę, że rozwój Tow. ludoznawczego i jego pożytek zaczną się dopiero z chwilą, kiedy ono potrafi stworzyć własny organ, a nie będzie siedzieć „kątem“ w cudzej chacie.

Słówko jeszcze powiedzieć muszę o rozprawce dr. Wilh. Bruchnalskiego p. t.: *Pierwsze utwory Mickiewicza, naśladowane w literaturze galicyjskiej* (1822—1830). Drukowaną ona była w sprawozdaniu dorocznem Biblioteki Ossolińskich i dlatego może nie zwróciła uwagi, jak dotychczas przynajmniej, naszego świata mniej więcej uczonego. Jest to robota źródłowa, pracowita, znamionująca umysł krytyczny i naukę gruntowną. Na tle bladego życia literatury owczesnej w Galicyi, okraszonego wpływem Goethego, Schillera, Kleista, Lessinga i w. in., rozwinęło się płyciutkie, w granicach sentymentalizmu zakreślone naśladownictwo. Przez zwarte szeregi wpływu niemczyzny, wsiąkającej przez szkoły do życia i literatury, przesuwały się dzieła pisarzy polskich — Krasickiego, Trembeckiego, Wężyka — oto była uboga niwa, na której miało się rozwinąć z czasem samodzielne umysłowe życie w Galicyi. Goethe, Schiller, Herder, Lessing przynosili niezawodnie wiele do skarbca literatury wszechludzkiej, ale Galicya czerpała z tego skarbca mało, bardzo mało — jak dotychczas. Rząd austryacki, kochający nas bardzo — naturalnie — czuwał, ażeby myśli i uczucia, a nawet wiedza, wsiąkały powoli w umysły szlachciców. Trzymał się przeto tej zasady: wolno tobie kupić książkę, jeśli masz pieniądze, ale — „zum eigenen Gebrauch, ohne weitere Verbreitung.“

Na tej też zasadzie Mickiewicz w pierwszym okresie swojej twórczości był znany bardzo nielicznej gromadce ludzi interesujących się literaturą ojczystą w Galicyi, a trzeba przyznać, wywarł na nią wpływ niepośledni i odrazu stworzył naśladowców. Jednym z młodych zapaleńców, który śród polaków pierwszy zaczął naśladować Mickiewicza, był trzeciorzędny poeta — Stanisław Jaszowski. Jeszcze w r. 1821, będąc studentem na ławie akademickiej, pisał on:

Czerpiemy z różnych narodów,
Obcy są naszem narzędziem,
Ach, czyliż nigdy nie będziem
Z własnych użytkować płodów?

Owo „użytkowanie z własnych płodów“ już się było rozpoczęło. Mickiewicz, o którym Jaszowski nie wiedział, już się dał poznać ze swego talentu. Świeżość myśli, nowość tematu i swojskość, jaką się zaznaczały pierwsze utwory Mickiewicza, popchnęły nietylko Jaszowskiego na drogę naśladownictwa. Wystąpił on w *Zabawkach rymotwórczych* ze swymi romansami i balladami, lecz zarzucił już Minwany i Elwiry, a wprowadził Józię, Marylę, Antosia. W jednym utworze (Józia do Baranka), naśladując *Kurhanek Maryli*, tak opowiada jej losy:

Od Antosia oszukana,
Tam poszła pewnego rana,
Klękła, paciorek zmówiła,
I—nożem serce przebiła.

Dziś na dowody takiej „czułości“ i w ten sposób wypowiedzianej, czytelnik zamiast doznawać wzruszenia, uśmiecha się pobłażliwie. Inni „poeci,“ jak Fr. Kowalski w *Letargu* naśladował *Dudarza*, a Fel. Poznański w baladzie *Dzwon* opracował także ten sam motyw. Były to bardzo nieliczne próby przebudzania się jednostek w samej Galicyi. Usiłowania w tym zakresie podjęte były już wcześniej, ale nie przyniosły pozytywnego rezultatu. Adam i Walenty Chłędowscy jeszcze w r. 1816 skupili koło siebie gronko ludzi, które podjęło pracę w celu „zwalenia bałwana apatyi i ciemnoty.“ Założono *Pamiętnik lwowski*, ale nie łudzono się. „Redaktor nie może sobie obiecywać współpracowników, nakładnik odbytu, publiczność wielkich nadziei“—tak prorokowano *Pamiętnikowi* i proroctwa sprawdziły się. Pismo zawieszono z braku przedewszystkiem—współpracowników. Wkrótce potem do literatury, zalanej powodzią niemiecką, wpadł promyk poezyi rodzinnej—pierwszy odbłysk geniuszu i sławy Mickiewicza.

Jeszcze słówko. Pisałem kiedyś o opróżnionej po Ogonowskim katedrze historyi literatury ruskiej na uniwersytecie lwowskim i między kandydatami wymieniłem Kołessę jakoteż Iw. Franka. Dowiaduję się teraz, że Kolessa habilitował się w uniwersytecie czerniowickim i prawdopodobnie katedrę otrzyma. W takim razie zostanie w Czerniowcach, a stamtąd przyjdzie do Lwowa w dosłownem znaczeniu „figurant,“ osoba nieznana zupełnie w literaturze naukowej. W ten sposób do grupy „figurantów“ uniwersytetu lwowskiego á la Bronisław Dembiński i Wojciech Dzieduszycki przybędzie nowy kolega. A szkoda gdyby człowiek tak wielkiej nauki i wszechstronnych zdolności jak dr. Iwan Franko nie otrzymał tej katedry, boby kraj cały odniósł stokroć większy pożytek z jego pracy, niż z bezmyślnej niekiedy ruchliwości c. k. „figurantów.“

W chwili, gdy miałem list mój wysłać, dowiaduję się, że p. Iw. Franko pozwolono habilitować się na docenta historyi literatury po Ogonowskim. Jeżeli to prawda—niech się ona stanie zapowiedzią lepszej przyszłości.

Cho.

ZA URALEM.

Kolonizacya syberyjska. — Badania pp. Zaleskiego i Ossowskiego.—Środki zaopatrzenia Baraby w wodę zdrową.—Reforma systemu zsyłania.—Uwagi *Sibirskiego Wiestnika*.

Z olbrzymią koleją Syberyjską związana jest ściśle sprawa kolonizacyi niezmierzonych, pustych obszarów i kultury tych przestrzeni, oderwanych od świata. Ruch emigracyjny poniekąd ułatwi w przyszłości obecna taryfa strefowa pasażerska. Jak wiadomo, przesiedleńcy mają specyalne ulgi, dające im prawo przejechania tysiąca wiorst za *trzy ruble*. Można stąd ocenić, jak dalece ożywi się ruch przesiedleńczy po całkowitem skończeniu drogi żelaznej, obejmującej 7,000 wiorst długości. Oczywiście będzie to nowy okres kolonizacyjny, niezmiernie ważny, dla setek tysięcy ludności. Dziś emigranci, pomimo pewnej opieki i współdziałania ze strony komitetów specyalnych, są w nieslychanie ciężkich warunkach, tem bardziej, że rekrutują się oni z najuboższych warstw ludności. Nie mamy pod ręką najświeższych danych, ale wiemy to tylko, że w ciągu ostatnich paru lat stan rzeczy wcale się nie zmienił, że zatem i fakty, zebrane przed pięciu lub sześciu laty, nie są przestarzałe. Według sprawozdania p. Czaruszina za r. 1888, z 2,825 rodzin, o których zebrano dokładne szczegóły, 1,250 tj. przeszło 44%, miało przy sobie po przybyciu do Tomska nie więcej niż po 10 rubli na każdą rodzinę. (Wielu nie posiadało ani grosza), 819 rodzin, czyli prawie 29%—po 10—50 rs. Tak więc 73% wychodźców nie miało żadnych środków dla zagospodarowania się w nowem miejscu. Podróż ze wschodnich gubernii Rosyi europejskiej do Tomska jest bardzo kosztowna, z powodu olbrzymiej przestrzeni i braku komunikacyi kolejowej, co właśnie wyczerpuje zasoby pieniężne emigrantów. Przy skromnych wymaganiach, życiu nadzwyczaj oszczędnem, 130 rs. zaledwie wystarcza na podróż jednej rodziny i przewiezienie niezbędnych, ruchomości, a suma taka, to częstokroć niemal cały majątek z likwidacyi starego gospodarstwa, sprzedaży zabudowań, części bydła i narzędzi.

Ci wszakże koloniści, którzy zdołali utrwalić swój byt na nowych siedzibach, cieszą się powodzeniem i rozwojem materyalnym. Mieszkają oni w trwałych, przestronnych chatach, posiadają 3—5 razy więcej bydła niż dawniej na ojcowiźnie, zamiast „łapci“ (obuwie z łyka lipowego) noszą wyłącznie buty, nie przychodzą z miasta lub targu wiejskiego bez cukru, herbaty, albo jakiej sztuki tkaniny. Całe urządzenie takiego kolonisty—według słów statystyków i etnografów rosyjskich—przedstawia obraz dostatku, zupełnie nieznanego w środkowych guberniach Rosyi europejskiej. Ciekawe są w tej mierze szczegóły, zebrane przez p. Czaruszina z gminy Nowojegorjewskiej okręgu Bijskiego: W r. 1885 zaraz po osiedleniu się 102 chaty kolonistów liczyły 192 konie (17 chat nie posiadało ich wcale a 31—po jednym). Po roku kolonia ta liczyła już 264 konie (zupełnie bez koni było 2 chaty a 26 miało po jednym). W okręgach Bijskim i Barnaulskim, gub. tomskiej, gospodarka włościan-kolonistów uczyniła w ostatnich latach postępy. Coraz bardziej wchodzą pługi, młocarnie i inne doskonalsze narzędzia tudzież szlachetne nasiona zbóż. Narzędzia robią sami przesiedleńcy, trudniący się drobnym przemysłem. W pewnych wsiach wyrabiane są szufle, a jeden z warsztatów w Bijsku produkuje duże młocarnie, po 200—250 rs. za sztukę. Kto się nie może zdobyć na własne maszyny, wynajmuje od drobnych przemysłowców wraz z ich pracą. Gospodarstwo kolonistów robi, chociaż powolne, postępy nie tylko na gruntach własnych, ale i dzierżawionych, zasadniczą zaś siłą tego rozwoju jest bogactwo i dziewiczość przyrody.

Państwo, oceniając wybornie znaczenie polityki kolonizacyjnej, wzięło pod swoją opiekę ruch przesiedleńczy włościan i wydało r. 1889 osobne prawo, którego zadaniem jest opiekowanie się wychodźcami i dopomaganie im w emigracyi. Gubernatorowie, uwiadamiając ministeryum spraw wewnętrznych o chęci włościan do przesiedlania się, powinni swe doniesienia zaopatrywać w osobiste uwagi o warunkach, wywołujących dążność do emigracyi; podstawą zaś do tego mają służyć materyały, zebrane przez urzędników administracyi powiatowej, zarządy ziemskie itd. Na te szczegóły prawa zwrócił uwagę ekonomista rosyjski, p. Isajew, i wskazał braki. Członkami władz powiatowych są nieraz właściciele ziemscy, którzy nie chcąc wypuścić rąk roboczych, mogą udzielać wiadomości błędnych. Wobec tego p. I. doradzał uzupełnić przepisy przez określenie warunków, które skłaniałyby do sumiennego wyświetlania bytu włościan. W szeregu przyczyn, upoważniających lud do wychodźtwa, należy zamieścić: mały „nadział“ — 2 dziesięciny na jedną osobę płci męzkiej w pasach czarnoziemnych i około $3\frac{1}{2}$ na nieczarnoziemnych. Nadto: jałowe pola, błota, wydmy piaszczyste itd. Prócz tego należy sumiennie badać i mierzyć grunty, na których mają osiadać koloniści. Ustawa milczy o Syberyi wschodniej, prawdopodobnie dlatego, że przestrzenie bliższe zanadto są jeszcze rozległe i puste. Nie licząc obszarów, leżących odłogiem w Rosyi europejskiej, dwie gubernie syberyjskie i trzy okręgi środkowo-azyatyckie mają 3,200,000 wiorst kwadratowych. Większa część gub. tobolskiej, leżącej na dalekiej północy, nie jest zdatna dla kolonistów. W przybliżeniu $^3/_4$ tej olbrzymiej gubernii (1,207,000 w. kw.) może służyć tylko dla tubylców koczowniczych. Odliczając w takim samym stosunku część ziemi na innych obszarach, otrzymamy jeszcze najmniej 1,600,000 w. kw. dla kolonistów. Zdaniem p. Isajewa, nawet jeden milion będzie aż nadto wystarczającym. Przy systemie gospodarstwa najbardziej ekstensywnego i w przewidywaniu przyrostu ludności, dla każdej rodziny nie potrzeba więcej, niż po 50 dzies. gruntu. Na obszarach powyższych może więc wygodnie osiąść 2,080,000 rodzin. Na terytoryach dwóch gubernij i trzech okręgów mieszka $4\frac{1}{2}$ miliona ludzi, co, licząc po 5—6 osób na jedną rodzinę, nie wyniesie 900,000 rodzin, a więc zostaje miejsca jeszcze dla 1,200,000. Gdyby emigracya włościan rosyjskich przybrała olbrzymie rozmiary, obejmujące rocznie 50—60,000 rodzin, to, według obliczeń p. Isajewa, obszary powyższe można byłoby dostatecznie zaludnić ledwie w ciągu lat 20—25 i wtedy dopiero zwróconoby uwagę na Syberyę wschodnią. Uregulowanie i prowadzenie sprawy kolonizacyjnej wogóle jest zadaniem doniosłem i trudnem. To też przez długi czas mogą istnieć jeszcze błędy, wynikające z niedokładnych oświetleń lub niedostatecznego zbadania warunków. Ruch ten wszakże ma przed sobą wielką przyszłość.

W związku z powyższą sprawą są badania naukowe, prowadzone przez specyalistów na dziewiczych, nietkniętych przez kulturę obszarach syberyjskich. Między innemi zwróciły na siebie uwagę ty[illegible] przestrzenie Baraby. Na nieszczęście brak dobrej wody do picia jest najważniejszą przeszkodą do zaludnienia tych stron. Władza miejscowa, a w ostatnich czasach także komitet kolei, postanowiły wynaleźć środki usunięcia tych niedogodności. Z polecenia gubernatora tomskiego południową część Baraby zbadał niedawno b. profesor uniwersytetu miejscowego, p. S. Zaleski, który rezultaty swoich poszukiwań wydał p. t. „Zbadanie zdatności do zaludnienia przez kolonistów małowodnych obszarów barnaulskich i kaińskich.“ Następnie, również z polecenia władzy powyższej a inicyatywy steru kolei Syberyjskiej, odbył wyprawę p. Ossowski, rezultaty zaś jego pracy wydał starannie miejscowy komitet statystyczny („Geo - hydrologiczne badania Baraby,“ Tomsk, 1895). P. Os. odbył dokładne studya nad warunkami zaopatrzenia w wodę miejscowości, przylegających do kolei żelaznej i zapoznał się ze środkami zaradczymi. Jedyne zbiorniki w tej upośledzonej krainie, to kotliny ze stojącą wodą atmosferyczną, nazywane szumnie jeziorami. Właściwie zaś są to bagniska, kałuże powoli wysychające, strasznie zanieczyszczone przez rozkładające się ciała organiczne. Ale roboty świdrowe, dokonane przez inżenierów przy budowie kolei, dowiodły, że kraj ten można zaopatrzyć w wodę za pomocą studzien. Po za tem należałoby całą Barabę skanalizować, tym sposobem oczyścić ją z bagnisk niezdrowych. Właściwie istnieją tam studnie stare, ale zanieczyszczone w taki sam sposób, jak wszelkie inne zbiorowiska wody, przez zwalanie dokoła nawozu. Tubylcy, hodowcy ogromnej ilości bydła, są wielce niechlujni i sami wodę zepsuli. Po skanalizowaniu tych obszarów naturalne strugi i rzeczki oczyszczą się zupełnie.

Komisya przy głównym zarządzie więziennym pracuje nad zreformowaniem

obecnego systemu zsyłania skazańców. Uznała ona za właściwe karę zesłania stosować tylko do warstw uprzywilejowanych (przez co rozumieć należy także przestępców wogóle ukształconych) i — ograniczyć się tylko do północnych gubernij Syberyi. Będzie to istotnie reforma niezmiernie ważna. System zsyłania, jako mniej kłopotliwy i kosztowny, zaszczepił się łatwo i w innych państwach. „Najpierwej zaś w Europie środek ten wprowadziła Anglia, ale już przed pół wiekiem zwrócono uwagę na to, że od zbrodniarzy, wyrzuconych na kolonie wprost z więzienia, cierpi ludność miejscowa. To też mieszkańcy Australii, podlegający władzy angielskiej, silnie agitowali przeciwko systemowi dla nich szkodliwemu. Gdy wszakże doszło do tego, że na meetingach zaczęto gorąco doradzać środek stanowczy — oderwanie się od metropolii, Anglia przestała zabagniać Australię mętami swego społeczeństwa.

Z powodu reformy w Rosyi, *Sibirskij Wiestnik* wypowiada kilka uwag ciekawych. Dowodzi on, że zsyłanie wcale nie zabezpiecza Rosyi europejskiej od powrotu przestępców. Pod względem kolonizacyjnym system ten nie przyniósł żadnego pożytku. Natomiast stworzył tłumy włóczęgów obdartych, głodnych i niebezpiecznych. Zaledwie garstka osiadła i wzięła się do pracy uczciwej. O roli poprawczej tego sposobu kary nawet mowy być nie może. „Oprócz wzrostu liczebnego najstraszniejszych zbrodni, nic on więcej nie dał. Wielkie obszary pozbawione są wszelkiego bezpieczeństwa; w roku przeszłym generał-gubernator irkucki, Goremykin, musiał ogłosić rozporządzenie odbierania broni od zesłańców w miejscowościach, przerżniętych przez główne trakty w gub. jenisejskiej i irkuckiej. Wreszcie budowa kolei Syberyjskiej usuwa z systemu zsyłania wszelkie cechy kary." Co do przestępców z wyższych warstw społecznych, *Sibirskij Wiest.*, biorąc pod uwagę wykazane w reformie terytoryum, zaznacza w tej mierze tylko jeden okrąg jakucki tudzież wlicza do obszarów, przeznaczonych dla zesłańców, jeszcze obręb berezowski (gub. tobolskiej) i północną część okręgu jenisejskiego. „Ale tu wynika pytanie: czy sprawiedliwem będzie oprócz pozbawienia swobody, obarczenie ludzi z warstw wyższych surowymi warunkami kraju? Co będą robić skazańcy w polarnych pobrzeżach Syberyi? Prawda, okrąg jakucki przedstawia pewne szanse dla rozwoju rolnictwa. Ale nikt chyba nie wątpi, że zesłańcy z wyższych warstw społecznych stanowią żywioł najbardziej nieodpowiedni do tego rodzaju zajęcia. Jeszcze mniej oni się nadają do rybołówstwa i myśliwstwa, zajęć, wymagających wielkich wysiłków fizycznych. A więc w najlepszym razie będą skazani na zupełną bezczynność." Organ tomski przychodzi w końcu do przekonania, że Syberya wcale nie jest właściwem miejscem dla skazanych ze sfer inteligentnych, gdyż nie mogą oni tam znaleźć dla siebie pracy produkcyjnej, więc opierając swe istnienie materyalne na zapomogach rządowych, prowadzą życie jałowe i częstokroć są ciężarem dla ludności miejscowej.

A. Czyński.

LIBERUM VETO.

Kwestyonaryusz o niższości kobiety. — Zabawa w niedorzeczne pytania. — Fantazyjna statystyka. — Tematy przysłane nam do rozmyślań z Paryża. — Kilka słów o potrzebie wstydu. — Artykuł nieboszczyka i niezbity dowód spirytyzmu. — Bezpłatne premium.— Mniejsza strata.

Tygodnik *ilustrowany* zamieszcza szereg odpowiedzi autorek polskich na kwestyonaryusz o „niższości kobiety." Właściwie pytanie, w tę stronę skierowane, było zupełnie zbyteczne, gdyż nikt chyba nie wątpił, że kobiety nie podpiszą wyroku na swą niższość i zapelują do wszelkich możliwych trybunałów. Co najwyżej mogło być niewiadomem, jak każda z nich tę apelacyę uzasadni. Umotywowały ją rozmaicie, chociaż z przewagą twierdzenia, że gdyby płeć słaba nie doznawała upośledzenia w ciągu wieków, nie byłaby słabą, przynajmniej pod względem umysłowym. Pozostawiam wszakże całe to głosowanie nietkniętem, gdyż o co innego mi chodzi. Jak wiadomo, za przykładem bogów zaczęliśmy w ostatnich czasach bawić się w kwestyonaryusze. Mówię: bawić się, gdyż nie znam ani jednego wypadku, w którymby u nas tą drogą rozstrzygnięto jakąś poważną kwestyę. Zwykle albo zwracano się z nią do ludzi, którzy nie mieli o niej żadnego pojęcia, albo też od znawców nie otrzymywano odpowiedzi. Zapewne czytelnicy pamiętają humorystyczny kwestyonaryusz w przedmiocie zaraźliwości cholery, rozesłany przed kilku laty do... literatów. Historycy, poeci, powieściopisarze mieli rozciąć swemi piórami ten węzeł gordyjski i odsłonić światu stanowczo tajemniczą istotę cholery. Trudno bawić się swawolniej! Natomiast gdy Towarzystwo pop. r. prz. i h. zwróciło się do rolników z szeregiem pytań specyalnych, zaledwie kilku z nich przemówiło. I wogóle, jeżeli chcemy dowiedzieć się: jaka pszenica jest najplenniejsza lub jakie książki lud najchętniej czyta, możemy być pewni, że odpowie zaledwie jeden na sto zagadnionych; ale jeżeli *Kuryerowi* przyjdzie chęć zbadania, jak przyjęty został w kraju „biusthalter" lub frak czerwony, zaczną do jego urny wrzucać swe głosy tłumy. A jednak kwestyonaryusze mogłyby nas oświecić w wielu wątpliwościach. Pominąwszy biusthaltery, przepisy o strojach na rozmaite pory dnia i tym podobne fraszki, my jesteśmy pod względem znajomości dorobków i potrzeb własnego kraju tak ciemni, tak głupi, że powinienby nas jakiś przedsiębiorca wpakować w olbrzymi pociąg i obwozić po Europie dla pokazania jej, jak wygląda naród, który śledzi rozwój czerwonych fraków, nie wiedząc, co się na jego ziemi rodzi. Gdyby tylko tyle! Ale my posiadamy wynalazek, nieznany światu cywilizowanemu — fantazyjną statystykę, która w cyfrach wyraża naszę przybytki i straty. Kto ją improwizuje — wiedzą tylko sami jej twórcy, obdarzeni nadzwyczajną wyobraźnią, czy też boskiem jasnowidzeniem. Bo jeżeli ogłaszamy, że np. w gubernii warszawskiej zdechło na różę w roku zeszłym 40,000 sztuk trzody chlewnej, to można objechać na próbę sto gospodarstw i sprawdzić, że nikt nie wie o tej śmiertelności. Jakimże sposobem ją obliczono bez pomocy wyobraźni lub jasnowidzenia? Ponieważ pierwsza jest zdolnością ludzką, więc przypuszczam, że ona stanowi główne źródło naszej statystyki. Każdy przeto, pragnący zużytkować swoją imaginacyę w tym kierunku, może ułożyć sobie dowolne wykazy, które ani na włos nie będą mniej warte od przyjętych za normalne. Jeżeli tedy powiemy, że w gub. warszawskiej zdechło w roku minionym 60,000 świń, a 150,000 kur, że wyrąbano 300 włók lasu, wyhodowano 10,000 pudów chmielu a 120,000 pudów owoców, to nauka z równą ufnością może przyjąć te cyfry, jak wszelkie inne. Wprawdzie umiejętnie układane i sumiennie wypełniane kwestyonaryusze w wielu razach przybliżyłyby nas bardzo do prawdy rzeczywistej, ale stoi nam na drodze ważna, dotąd niepokonana przeszkoda. Mianowicie przedmioty do takich poszukiwań wybiera nam Francya, a najczęściej jakieś poczytne pismo paryskie. Jedno z owych pism ogłosiło artykuł Strindberga (autora duńskiego, który doświadczywszy dużo złego od wielu swych żon, kłóci się ustawicznie z całym „babim" rodzajem), dowodzący niższości kobiet w porównaniu z mężczyznami. Gdyby Strindberg nie był napisał tego artykułu, a zwłaszcza gdyby go nie był wydrukował w Paryżu, ani pomyślelibyśmy w Warszawie o wydaniu odnośnego kwestyonaryusza. Musieliśmy zaś to uczynić, skoro i nad Sekwaną urządzono również głosowanie w tej sprawie. Nie było wyjścia. Bo pomyślcie tylko: duńczyk dowodzi w Paryżu, że kobieta jest niższą od mężczyzny, różni ludzie tam powołani są do objawienia swych zdań, czyż my możemy nie pójść ich śladem? Niepodobna! Że sama kwestya w jakim była stanie, w takim pozostała — nic to nie znaczy.

Spłaciwszy ten dług, odważmy się porozmawiać z własnym zdrowym rozsądkiem. Dziś rozważamy stosunek uzdolnień męzkich do niewieścich, jutro — jeżeli Paryżowi się podoba — będziemy rozważali erotyczne znaczenie pończoch białych i czarnych lub udział blondynów w cywilizacyi świata. Otóż czy przy tem filozofowaniu nie powinniśmy czuć wstydu, że nam, społeczeństwu, które ma pretensyę do kultury i samodzielności umysłowej, było paradoksista, jak gromadzie żaków, daje tematy do myślenia i pisania? Czy nam nie wstyd, że posiadając we własnem życiu tyle zagadnień poważnych, a prawie wcale niedotkniętych, chwytamy pierwszą lepszą łamigłówkę zagraniczną i jak czeladź dworska podskakujemy na dziedzińcu po muzyce, która przygrywa panom do tańca w pałacu? A jeżeli panowie przestaną tańczyć, jeżeli francuzi przestaną wogóle myśleć, czy my również uwolnimy się od tego trudu? Mnie się zdaje, że może byłoby właściwiej, pożyteczniej i bezpieczniej odwrócić oczy od wzorów zagranicznych, zwłaszcza gdy one uczą sztuki przelewania z pustego w próżne lub urządzania igrzysk dziennikarskich, i skierować je na kwestye rzeczywistej wagi, których znajdziemy blizko siebie pod dostatkiem. Sądzę dalej, że ludzie inteligentni, którzy dziś tak skwapliwie zajmują się błahostkami lub — pytani o rzeczy poważne, tak bosko milczą — powinniby składać swoje świadectwa w kwestyonaryuszach, mających na celu użytek ogólny. To, co się u nas dziś robi w tej mierze, jeśli nie jest zabawką, jest gorszącem niedołęztwem. Społeczeństwo, które, mając kilka tysięcy ukształconych ziemian, może się zdobyć na 6 odpowiedzi w przedmiotach rolnych, a posiadając kilkadziesiąt tysięcy mniejszych i większych ogrodów, przysyła 30 sprawozdań ogrodniczych, chyba zbyt mało wie o sobie, ażeby mogło zajmować się wytrwałością fizyczną kobiet botokudzkich.

Wszakże *suum cuique*. Jakkolwiek wyobraźnia, czy jasnowidztwo, które stwarza statystykę, zasługuje na podziw, maleje ono wobec daru proroczego, jaki nam okazał Aleksander Półkozic (Niewiarowski). Człowiek ten zmarł przed kilku laty, a pomimo to pozostawił nekrolog dla Halpertowej, która zeszła do grobu przed kilku dniami. A nie sądźcie, ażeby on skreślił jej życiorys do chwili swego zgonu, owszem, doprowadził go aż do jej śmierci: „*Wczoraj* zgasła na wieki — pisze on w jednym z dzienników. — W r. b. dnia 11 kwietnia upływa 44 lata od dnia, w którym Halpertowa po raz ostatni (1851) ukazała się na scenie... Silny organizm i zupełna czerstwość władz umysłu, które zachowała prawie do końca długiego życia" — itd.

Jeżeli to nie jest płód zdumiewającej imaginacyi lub jasnowidzenia, to nie pozostaje nam nic innego, jak uwierzyć w spirytyzm, wywoływanie duchów i ich pismo. Po co tu zbierać inne dowody, po co przytaczać świadectwa „uczonych" o cudach Eusapii; jeden artykuł zmarłego Półkozica o Halpertowej wystarczy dla pokonania wszelkich wątpliwości i udowodnienia, że duchy zjawiają się, a nawet piszą do dzienników.

Wogóle tydzień ubiegły był bardzo obfity w przyjemne niespodzianki. *Słowo* ofiarowało nietylko swym prenumeratorom, ale i czytelnikom wspaniałe „premium bezpłatne,“ mianowicie dwumiesięczny abonament wydawnictwa francuskiego *Les sciences populaires*, zajmującego się astronomią, meteorologią, fotografią i fizyką kuli ziemskiej. Dla otrzymania tego cennego daru nie potrzeba żadnej legitymacyi, nawet dowodu, że się jest „czytelnikiem“ *Słowa*, dość napisać bezpośrednio do nakładcy, p. E. Vimont (Paryż, 15 rue Lebrun), a on zaraz swój organ przysyłać będzie. Podziwialibyśmy niezwykłą hojność redakcyi *Słowa*, gdyby nam jeszcze bardziej nie zaimponowała wspaniałomyślność p. Vimonta, który przez dwa miesiące obdarza swem wydawnictwem każdego, kto go o nie poprosi. Właściwie zatem moglibyśmy tym samym tanim kosztem urządzić dla naszych prenumeratorów i czytelników „premium bezpłatne,“ ale zapewne nasza ofiara nie miałaby dla nich wielkiej wartości wobec tego, że mogą ją sobie sami sprawić za 4 kopiejki karty korespondencyjnej. Ach, jakie to szczęśliwe nastały czasy dla pragnących dawać lub odbierać „premia bezpłatne“!

Czy wolno mi do miłych niespodzianek zaliczyć również spokojne spłynięcie lodów na Wiśle? Rozebrała się ona z nich tak szybko i cicho, że najczujniejsi reporterzy nie mieli czasu rzucić żadnego z owych alarmujących okrzyków: „jesteśmy na stanowisku! — inżenierya rzeczna wydaje gorączkowe rozkazy! — Mariensztadt pod wodą — fale niosą kołyskę z niemowlęciem, daremnie wzywającem ratunku!“ Nic z całej elegii! Mając wszakże do wyboru albo stratę kilkuset melodramatycznych wierszy druku, albo nieszczęście i ruinę tysiąców ludzi, z lżejszem sercem zniesiemy pierwszą i wolimy, że reporterzy nie pływali ani po dziennikach, ani po zalewach.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Kielce. Przy zachodnim okręgu górniczym, którego ster urzędowy umieszczono w Sosnowcu (pod zwierzchnictwem inżeniera Choroszewskiego, naczelnika górnictwa w Królestwie Polskiem), tworzy się nowy organ, t. zw. „prezydyum do spraw górniczo-hutniczych.“ Celem jego jest: rozstrzyganie kwestyi spornych pomiędzy robotnikami a właścicielami fabryk i zakładów przemysłowych, rozciąganie opieki i kontroli nad urządzeniami zdrowotnemi, bezpieczeństwem, gospodarką szpitalną, czuwanie nad sprawami pomocy dobroczynnej, kas emerytalnych, zapomogowych, pogrzebowych. Jak widzimy, zakres jest bardzo szeroki. W skład organu tego wejdą, oprócz kierownika, przedstawiciele prokuratoryi, delegaci ministeryum skarbu i spraw wewnętrznych i dwóch delegatów, obieranych przez zjazd górniczy. Ponieważ Sosnowiec nie posiada odpowiednich pomieszczeń, hotelów i restauracyj, więc posiedzenia i narady prezydyalne odbywać się będą w Kielcach (w gmachu rządu gubernialnego).

Kalisz. Nie pamiętamy, ażeby jakakolwiek ustawa normalna, mająca dobro publiczne na celu, znalazła tak przyjazny grunt w społeczeństwie i odrazu zaszczepiła się w życiu, jak—Towarzystwa pomocy dla młodzieży szkolnej. Jednocześnie prawie we wszystkich miastach Królestwa inteligencya przystąpiła do zawiązywania takich stowarzyszeń a w Kaliszu przed kilku dniami zorganizowano je całkowicie; jest ono gotowe do niesienia pomocy ubogim uczniom. Spodziewać się należy, że jego członkowie również szybko i energicznie rozwiną zabiegi około zgromadzenia funduszów odpowiednich. Nowa instytucya liczy już niespełna 40 uczestników.— Miejscowe Towarzystwo muzyczne, cieszące się sympatyą i poparciem ogółu, „wzrasta stale, a o jego powodzeniu najlepiej świadczy świeżo przez prezesa, p. A. Parczewskiego, podany projekt wybudowania własnego gmachu. Na razie zebrano 200 rs. i postanowiono co rok wyłącznie na ten cel urządzać jeden koncert. Oczywiście w ten sposób fundusz potrzebny na zbudowanie własnej siedziby będzie rósł powoli przez lata całe. Ale w doprowadzeniu projektu do skutku nie ma nic pilnego, tymczasem zaś ciułany, chociaż mozolnie, kapitał będzie w każdym razie podwaliną instytucyi.— W tych dniach zatwierdzono budowę teatru w Kaliszu.

Wilno. Korespondent *Kur. warsz.* zapewnia, że wbrew szerzonym pogłoskom, jakoby księżnie Hohenlohe pozwolono zatrzymać na własność resztę dóbr powittgensteinowskich— ostatnie trzy wielkie majątki: Werki, Lubcza i Naliboki, będą wkrótce sprzedane. Ostatni termin upływa za rok do. 1 kwietnia 1896 r. Niesprzedany dotąd obszar dóbr zajmuje 55,000 dziesięcin (cały spadek liczył 800,000 dzies.). W tych dniach udała się do majątków Naliboki i Lubcza specyalna komisya od zarządu właścicielki dla oszacowania dóbr. Nabywców dotąd brak niemal zupełny. Sprzedaży przymusowej nie podlegają dobra księżnej w gub. siedleckiej: Biała, Sławatycze nad Bugiem i inne.—Szlachta z gub. wileńskiej ofiarowała 18,000 rs. na otwarcie szkoły rolniczej i rzemieślniczej w Wilnie.

Petersburg. Jeszcze w roku przeszłym pomocnik zarządzającego laboratoryum ministeryum rolnictwa, p. S. Mereżkowski, otrzymał z susłów polnych bacylusa, który jest zabójczym dla myszy. Należało zbadać, o ile działać on będzie skutecznie w polach. Otóż w ciągu ubiegłego lata przeprowadzono próby, które dały bardzo pomyślne wyniki. Jad ten nie jest szkodliwy dla zwierząt domowych. Sposób jego przyrządzania jest następujący: w cieście żytnim należy zagnieść kulturę czystą zarazków, następnie robić gałki i kłaść je w rogach stert lub w spichrzach. Podobno trutkę ową myszy jedzą bardzo chętnie, nawet gdy nie są głodne.— Nowy minister komunikacyi, ks. Chilkow, zasypywany jest ciągle prośbami o udzielanie miejsc, szczególnie na kolejach skarbowych. Z tego powodu minister ogłasza, iż nadal przyjmowane będzie podania od osób, mających odpowiednie kwalifikacye dla pozyskania miejsca jedynie w zarządzie ministeryum na stanowiskach wyższych tylko do klasy VI włącznie. Co do niższych posad, należy zwracać się do odpowiednich zarządów kolejowych lub okręgu komunikacyi. — Wkrótce rozpocznie się proces o spadek po zamordowanej z. r. w Petersburgu Czarneckiej. O olbrzymi majątek ubiega się 69-ciu krewniaków, których popierać będzie 40-tu adwokatów. Suma spadkowa wynosi w papierach procentowych wartości nominalnej rs. 1,600,000, w przedmiotach wartościowych 500,000, nadto dwa majątki ziemskie w gub. podolskiej, ocenione na 3,000,000 rs.

SPRAWY EKONOMICZNE

„ORGANIZM EKONOMICZNY.“

II. *)

Wspaniały gmach, wybudowany przez p. Owsińskiego, nie podźwignie rolnictwa, nie wyzwoli go z zależności od rynków wszechświatowych, która coraz szerzej rozpościera się i coraz mocniej gniecie wytwórców wszelkiego rodzaju. Rola stała się pokorną służebnicą nie tylko wielkich ognisk wymiany; chyli się ona nawet przed ich najmizerniejszymi pachołkami—sforą spekulantów, rozpierzchłą na wszystkie strony. Dokoła słyszymy ciągle wołanie, że „rolnictwo upada,“ okrzyk ten rozlega się nie tylko u nas, ale i na zachodzie, przedewszystkiem zaś w Niemczech. Komuś tam powiedział Caprivi: Nie *rolnictwo*, lecz *rolnicy* upadają. Tkwi w tem zdaniu głęboka i niezbita prawda, o której i u nas należy zawsze pamiętać, bo mamy do czynienia zupełnie z tem samem zjawiskiem. Ziemia z całą machineryą swej gospodarki trwa i wiecznie trwać będzie, a wytwórcy, czerpiący z niej soki życia materyalnego, mniej lub więcej niedołężni, słabi, niezaradni, opuszczają swoje warsztaty, wyzuwają się z mienia i idą na bruk miejski. W owem stałem i powszechnem zjawisku daje się spostrzegać jeden fakt znamienny: Gdzie w posiadanie majątków zbankrutowanych ziemian wszedł nowy żywioł, ludzie obrotni, energiczni i silni materyalnie, tam rolnictwo podnosi się, o ile tych pojedynczych przedsiębiorstw nie gniotą ogólne warunki nieprzyjazne.

Jednym z nich jest zniżka cen. Ziemia—to akcye, które w ostatnich czasach fatalnie spadły; dziś licho płacą nie tylko nabywcy, lecz i dzierżawcy, bo jedni i drudzy dużo ryzykują. O wiele taniej niż dawniej warsztat wytwarza również produkty zabójczo tanie dla ziemian i to niemal powszechnie. Weźmy parę danych statystycznych z ostatniego siedmiolecia: Od r. 1887 wartość zboża coraz jest mniejszą, z wyjątkiem oczywiście lat 1891 i 1892, w których wzrosła skutkiem nieurodzaju. Na wszystkich wybitnych rynkach państwa (w Jelcu, Rydze, Warszawie, Odesie, Mikołajowie, Rostowie nad Donem, Noworosyjsku, Samarze, Saratowie) ceny pszenicy stopniowo spadają w końcu zaś roku 1893 i na początku 1894 wszędzie stały na niższym poziomie, niżeli w roku 1887 i nie dały nawet cen średnich w stosunku do całego okresu 1887—1891. Zniżkę ową najdotkliwiej odczuto na południu i zachodzie: w Odesie i Mikołajowie na 30%, w Noworosyjsku 29%, Rostowie nad Donem 25% i Warszawie 15%. *) Dalej: w Jelcu na 14%, a najmniej na rynkach wschodnich: w Samarze 12%, Saratowie 10%. Statystyka z końca roku ubiegłego notowała jeszcze ciągłą zniżkę. Niemal to samo zjawisko dają obroty z żytem. Ceny chociaż mniej gwałtownie niż pszenicy, spadają ciągle, głównie na rynkach południowych i zachodnich, t. j. w Odesie, Mikołajowie i Noworosyjsku, w Warszawie, Libawie i Rydze. Najsłabiej to się ujawnia w guberniach środkowych tudzież na wschodzie, lecz i tam ceny są na niższym poziomie, aniżeli były w okresie 1887—1891. Jedynie w Jelcu i Petersburgu daje się spostrzegać pewna dążność ku zwyżce. Ale dane z końca roku ubiegłego wykazały nową, silną zniżkę na wszystkich głównych rynkach państwa, nie wyłączając Petersburga. P. Adolf Szligowski, z którego najświeższej pracy, wydanej w Petersburgu po rosyjsku („Kultura rolna i taryfy kolejowe“), czerpiemy te szczegóły, kładzie głównie nacisk na uregulowanie stawek przewozowych dla równomiernego rozmieszczenia towaru wewnątrz państwa i ułatwienia faktycznego wywozu za granicę. Środek ten istotnie może znacznie poprawić warunki obecne niektórych dzielnic państwa, ale przesilenia ogólnego nie usunie.

Czy zatem z tego niezliczonego mnóstwa środków, proponowanych w ostatnich czasach, chociaż jeden będzie istotnie „zaradczym“? Gdybyśmy chcieli zanurzyć się w głębie pesymizmu, moglibyśmy dojść do bardzo smutnych wniosków, tem smutniejszych, że opartych na przykładach i nieu-

*) Przy końcu poprzedniego artykułu wynikła omyłka z przestawienia cyfr w korekcie: rolnik musi kupić akcyj ogółem za 11,000 rs. (nie 1,100); spodziewać się może dywidendy 1,100 (nie 11,000).

*) Przy sposobności zaznaczyć musimy, że według obliczeń Ludwika Krzywickiego, w najświeższej pracy jego, przeznaczonej dla „Encyklopedyi rolniczej,“ ceny pszenicy na rynku warszawskim idą równolegle z cenami londyńskiemi.

błaganej logice; co więcej — moglibyśmy przyjść do takich wywodów, które ściągnęłyby na nas zarzuty „wstecznictwa“; mianowicie: doświadczenie dowiodło, że wysoka kultura i technika sprowadza największe kłopoty, walki i... bankructwa; że im bardziej są dziewicze warunki uprawy ziemi, tem silniejsze ma rolnictwo podstawy, a jego interesy podlegają mniejszym wahaniom. Cóż więc pozostaje? Tym, którzy stoją na wysokim poziomie udoskonaleń, wrócić do owej dziewiczości nie pozwala właśnie ten postęp techniki i coraz bardziej złożone środki walki ekonomicznej. Trzeba więc za ich pomocą dalej iść naprzód i toczyć bój ze współzawodnictwem wszechświatowem.

Minęły te czasy, kiedy lada hebes, wypędzony ze szkół, chwytał się jedynej placówki, na której najłatwiej można było się utrzymać — gospodarki rolnej. Dziś ziemianin nie może poprzestać na przepisach, przez dziadów przekazanych; musi być rachmistrzem, chemikiem, bakteryologiem, technologiem, potrosze ekonomistą i t. d. ...e z najgruntowniejszą, najwszechstronniejszą wiedzą i rzetelną praktyką jeszcze niewiele zdziała, gdy będzie pracował w odosobnieniu. Świeże przykłady z życia dowodzą, że ludzie z wielkiemi kwalifikacyami w zakresie fachowym i jakim takim zasobem materyalnym staczają się w przepaść po zastosowaniu w swojem gospodarstwie tego, co powinno być dźwignią. Ktoś np. zakłada fabrykę dla przetwarzania płodów rolnych lub produkcyi nawozów i nie obliczywszy przedtem warunków handlu i komunikacyi, topi w przedsiębiorstwie bezpowrotnie wszelkie środki i z wytwórcy względnie dostatniego staje się niemal bankrutem.

I oto w tej chwili przypomina mi się nie treść, lecz myśl przewodnia w projekcie p. Owsińskiego — *zrzeszona działalność*, nieraz już głoszona w *Prawdzie*. Do gospodarstw kapitalistycznych brak u nas odpowiedniego żywiołu. Ziemianie dziedziczni nigdy nie stworzą „organizmu ekonomicznego“ (nie dosłownie według projektu p. O.), bo do wielkich stowarzyszeń potrzeba ludzi z takimi pierwiastkami przedsiębiorczości w charakterze, jakich nie da żadna szkoła życiowa, a tem bardziej nie usunie cech, przeciwdziałających tym pierwiastkom, tj., że tak powiem—obarczeń dziedzicznych w znaczeniu antropologicznem. Wobec tego można byłoby dojść do bardzo smutnych wniosków, że dzisiejszy żywioł ziemiański pierwej czy później musi ustąpić mieszczaństwu, które rozporządza większem bogactwem energii i rzutkości; czyli pamiętając o tej prawdzie, wypowiedzianej przez Capriviego, że nie rolnictwo, lecz rolnicy upadają, musimy przedstawić sobie obraz tej gospodarki w przyszłości nie jako dział pracy pewnej warstwy, lecz odłam przemysłu, poruszanego i kierowanego przez najróżnorodniejszych ludzi. Dawniej ziemianin siał, zbierał plony i sprzedawał je na miejscu. Dziś produkcyi rolnej coraz więcej przybywa składowych czynników, rozgałęzień, wymagających pewnej specyalizacyi. Jeden człowiek nawet obdarzony wybitnemi zdolnościami, nie może równie dobrze spełniać zadań hodowcy, kupca, fabrykanta, administratora itd. Ta więc typowa indywidualność rolnika tradycyjnego na własnej zagrodzie, oddzielonej miedzą nie tylko od sąsiada lecz i świata, musi stopniowo zanikać a przy zjednoczonej pracy ekonomicznej zejdzie na plan ostatni.

Czy do takiej pracy nasi ziemianie są zdatni? Czy się dostroi do niej ich charakter i temperament? Ogół—nie. Jest atoli garść dzielnych i zabiegliwych, którzy umieją walczyć z najnieprzyjaźniejszymi warunkami. Ci przetrwają wszelkie przesilenia, tj. ziemiaństwo nasze przejdzie przez przetak niepowodzeń ekonomicznych. Starci na proch przez klęski, niepomyślne „konjunktury“ i własną niezaradność, opuszczą rolę, pozostaną na niej odporniejsi i ci w połączeniu z jednostkami żywiołu obrotnego stworzą „organizm ekonomiczny,“ nie taki wszakże, o jakim marzy p. Owsiński. Już dziś mamy zarodki pewnego ruchu w tej mierze, wypływającego z inicyatywy samych ziemian. Łączą się oni w związki, mające na celu zdobycie tanich środków produkcyi i—ułatwienie zbytu swych wytworów. Takie stowarzyszenie istnieje już z powodzeniem parę lat w gub. kowieńskiej, niedawno powstało w Płocku, inne wkrótce może zacznie działać w Łodzi. W Kijowie zorganizowano wielki związek rolników prowincyi czarnoziemnych po obu stronach Dniepru, jako zaś filia, wkrótce rozpocznie działalność stowarzyszenie hodowców nasion. Ogniskowanie tego rodzaju sił ekonomicznych bardziej niż kiedykolwiek zbliżone jest do zasad syndykatów francuskich i tą właśnie drogą należy dalej iść. Dziś we Francyi istnieje już 750 związków rolnych (izb syndykalnych), liczących 269,000 członków. W r. 1886 założono „unię syndykatów“ i „syndykat centralny, które skupiają w sobie interesy rolnictwa francuskiego tudzież starają się o uregulowanie handlu. „Izba“ ziemian departamentu Dolnej Szaranty wysyła stale kartofle do Londynu. Syndykat zaś centralny zaopiekował się sprzedażą bydła na targu Vilette w Paryżu i posiada tam swojego stałego inspektora. Związek departamentu Wyższej Saony założył w Vésoul własną jatkę, do której wszyscy członkowie mają prawo swe woły przypędzać na rzeź i mięso sprzedawać *). Zcentralizowanie stowarzyszeń rolnych we Francyi ma jeszcze doniosłe znaczenie, jako wielki związek spożywców; 300,000 rolników przez swoje organy stale zakupuje wszelkie narzędzia, maszyny, nawozy sztuczne—tanio, gdyż za pomocą zamówień hurtowych. Tak samo przy sprzedaży swoich płodów członkowie związków unikają kosztownego pośrednictwa i wyszukują najprostszych dróg zbytu. Nasi rolnicy, zamiast snuć rozlegle, fantastyczne projekty, powinni sięgnąć po wzory do Francyi, tworzyć związki ekonomiczne nie pojedyńcze, oderwane, lecz z pewnym systemem, opasać nimi kraj cały, połączyć łańcuchem wspólnych potrzeb, skupić je w głównem ognisku. Taką organizacyę tem bardziej trzeba mieć na względzie, że nie stoi jej na przeszkodzie strona formalna, gdyż ministeryum rolnictwa samo popiera i zaleca wszelkie związki ziemiańskie.

Utworzenie Towarzystwa kijowskiego jest faktem doniosłym, obejmuje ono bowiem niemal takie obszary, jak Francya, (gub.: kijowską, podolską, wołyńską, czernihowską, połtawską, chersońską i besarabską), ma zaś na celu ułatwienie nabywania wszelkich przedmiotów, potrzebnych dla rolnika i—bezpośredniej sprzedaży jego produktów. Oczywiście Królestwo Polskie nie może się równać z warunkami powyższych prowincyj, ale powinno czerpać zachętę z tamtąd. Weźmy np. jeden tylko dział: nabywanie narzędzi i maszyn rolniczych. Jak wiadomo, fabryki krajowe nie zawsze odpowiadają wymaganiom istotnym; kto więc chce mieć dobrą maszynę, musi ją sprowadzać z za granicy i jeżeli to czyni jako nabywca przygodny, pojedyńczy znacznie drożej płaci. Tymczasem zawiązanie stosunków stałych z firmą zagraniczną, mogłoby wiele ulg przynieść, co przecież widzieliśmy nawet w tak drobnej rzeczy, jak zbiorowem wysłaniu próbek ziemi do Halli. Według najświeższych danych statystycznych, przywóz maszyn z za granicy do Rosyi w ostatnich czasach znacznie się powiększył. W r. 1889 przez wszystkie granice lądowe i morskie przewieziono ich na sumę 2,974,467 rs., w r. 1893 na 3,652.000 rs. Najbardziej wzrósł przywóz lokomobil ze skomplikowanemi młocarniami (w r. 1891 przywieziono za 325,000 rs., w 1894—za 1,595.000). Natomiast znacznie się zmniejszył dowóz narzędzi drobnych, jak sieczkarnie, kosy, sierpy itd. Fakty te zasługują na szczególną uwagę, świadczą bowiem, że fabryki krajowe nie mogą dostarczać odpowiednich maszyn drogich i złożonych, ale za to rozwinęły wyrób narzędzi drobniejszych. Więc zawiązanie także z niemi stosunków stałych przez stowarzyszenia ziemiańskie byłoby korzystnie dla obu stron. W dalekich guberniach państwa istnieją fabryczki włościańskie, wyrabiające z powodzeniem przedmioty niezbędne dla gospodarki. Może kiedyś i u nas wejdą one (nie wyjątkowo) w skład przemysłu rolnego, jak również młyny, fabryki nawozów sztucznych i wszelkie inne, przerabiające płody rolne. Będzie to tylko rozszerzenie zakresu rolnictwa (nie według wskazówek p. Owsińskiego) — na zasadach akcyjnych. Ale to przyszłość daleka; tymczasem myślmy o formach przejściowych: stowarzyszeniach przedewszystkiem ułatwiających *zbiorowe nabywanie i sprzedawanie* produktów. Dziś każdy rolnik jedzie do miasta i kupuje np. śledzie dla służby. O ile wypadłoby to taniej, gdyby złożyło się kilku lub kilkunastu ziemian na hurtowy zakup owych śledzi. Weźmy inny przykład: pewna okolica w promieniu kilkudziesięciu wiorst nie posiada buhaja rasowego. Żaden z pojedynczych skromnych ziemian nabyć go nie może, bo jest za drogi, a nie przyjdzie im na myśl kupić na współkę i dzielić się kolejno.

Moglibyśmy tysiące takich przykładów przytoczyć. Ziemianie nie mają tanich nawozów sztucznych, podczas gdy przy odpowiedniej organizacyi mieliby je po cenach o połowę niższych w stosunku do dzisiejszych. Ktoś np. wytwarza parę pudów masła, serów i sam je zjada—z konieczności, bo na wielki rynek nie opłaci mu się małej ilości dowozić, a w okolicy nikt nie chce kupić.

Skoro więc ziemianie nasi nie życzą sobie szybkiego sprawdzenia się przepowiedni Capriviego, lub przynajmniej jeżeli chcą zmniejszyć siłę czynników, wysadzających ich z roli, niech wprowadzą w praktykę hasło zsolidaryzowania się w bycie ekonomicznym, zwłaszcza że to przejawia się już u nas i w innych działach pracy. Tak np. warszawscy dostawcy materyałów aptecznych zawiązali stowarzyszenie i tym sposobem wszyscy właściciele „składów“ muszą przystąpić do tego związku. Jeżeli rolnicy potrafią wyrobić w sobie dążność do takiego zrzeszenia się i—wolę o tyle silną, ażeby mogła pokonać chęć zrywania tej łączności przy lada kaprysie, wówczas stworzą z siebie istotnie „organizm ekonomiczny,“ odporniejszy niż dzisiaj na wszelkie przesilenia.

Zen. Piet.

*) Stanisław Piotrowski, *Syndykaty przemysłowe*, Warszawa, 1893.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według najświeższych wykazów policyjnych, ludność Warszawy do 1 stycznia r. b. wynosiła wogóle 535,968 (mężczyzn 255,267, kobiet 280,701; mieszkańców stałych 232,819, niestałych 285,149).

— Nowourządzona ulica w Warszawie obok Doliny Szwajcarskiej za zgodą władzy otrzymała nazwę ulicy Chopina.

— W Jekaterynosławiu powstał oddział Cesarskiego Towarzystwa zdrowia ludu, złożony przeważnie z lekarzy. Postanowiło ono wywieszać flagi w czasie mrozów 18° R., na znak uwolnienia dzieci od nauki szkolnej. Nadto ma urządzić żłobek i kolonie letnie, na wzór warszawskich.

Szkoły. Wydział przyrodniczy w uniwersytecie genewskim skończyły pp. Marya Olszakowska i Julia Mierzyńska, obie z odznaczeniem.

— Egzaminy kandydatów postronnych, pragnących pozyskać świadectwa z kursu szkół realnych, odbywać się w tym roku będą jedynie w Łowiczu i Kaliszu. Szkoła warszawska z powodu wielu własnych uczniów i z zakładów prywatnych Górskiego tudzież Trejdosiewicza, nie może uwzględnić innych.

Wystawy i zjazdy. Na stacyi filtrów (Koszyki) w Warszawie podczas zjazdu wodociągowego urządzona będzie specyalna wystawa wyrobów żelaznych, przeznaczonych dla urządzeń wodociągów.

— Terminu przyjmowania deklaracyi z życzeniem wybudowania własnych pawilonów na wszechrosyjskiej wystawie w Niższym Nowogrodzie, przedłużono do 13 kwietnia.

— Zjazd drukarski w Petersburgu otwarty będzie 17 kwietnia, zamknięty — 24-go. Uchwały przekazane będą Towarzystwu technicznemu, które zajmie się ich urzeczywistnieniem. Program między innemi obejmuje: 1) Urządzenie szkoły dla zecerów i techników drukarskich; 2) współzawodnictwo między zakładami drukarskimi; 3) kredyt w bankach rządowych; 4) ulgi w opłatach stemplowych dla właścicieli zakładów drukarskich, nakładców itd., w stosunkach komitetów cenzury; 5) zmiany w przepisach cenzuralnych, odpowiednio do udoskonaleń sztuki drukarskiej; 6) cło od papieru i gatunkowanie jego; 7) uproszczenie formalności cenzuralnych; 8) ulepszenia środków rozpowszechniania wydawnictw książkowych i ich sprzedaży; 9) wogóle sprawy, dotyczące techniki i warunków materyalnych wydawnictw peryodycznych.

Wypadki. Z Rzymu telegrafują, iż runęła część katedry w Mirabella-Imbaccari (w Katanii). Z pod gruzów wydobyto sześć trupów.

— Z Londynu donoszą, iż silne burze morskie poczyniły szkody w statkach i straty w ludziach.

— W Reggio było trzęsienie ziemi. W Piazenza na przestrzeni kilometra kwadratowego zapadła część wsi.

Powódź. Rzeki Cisa, Mołdawa i March wylały i poczyniły wielkie szkody. Wisła dopiero od czwartku zaczyna grozić mieniu mieszkańców nadbrzeżnych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Maryanowi Z. Uwagi obrony Pańskiej były już wielokrotnie wypowiadane i gruntownie uzasadniane—bez skutku. Bo nie „aż pięć," ale znaczna większość idzie pod antisemityzmu sztandarem. Co zaś do źródła tego kierunku, ma on jeszcze inne przyczyny, które mu zapewniły szeroki grunt w społeczeństwie.

Dr. J. Komitzowi w Stuźnie. Jakże Pan mógł przypuścić, że uwaga nasza o gadaninach w Tow. p. r. prz. i h. odnosiła się do pańskiej gruntownej pracy? Nie mówiliśmy o „dwu ostatnich posiedzeniach," lecz o wszystkich, w których puste słowa często przesypują się masami. Pan zbadał rzecz naukowo i doświadczalnie, a iluż nie dotknęło jej ani w teoryi, ani w praktyce!

Prenum. z War. Każdemu służymy radą, o ile jej dać możemy. Adres p. Orzeszkowej: *Grodno.*

Panu Z. P. we Lwowie. Artykuł Pański odesłaliśmy redakcyi *Ateneum*, gdyż przedmiot ten wchodzi w zakres sprawozdań naszego korespondenta.

Panom: W. Ł. z pod Skierniewic, S. Just.. K. Zdz., B. Gron. M. Czyż. i innym. Nie możemy uwzględnić wszystkich głosów nawet w tak ważnej sprawie, jak poruszona przez p. N. R., gdyż brak nam miejsca, a nadto autor artykułu „Plamy na słońcu" nadesłał obszerną obronę swoich wywodów. Zresztą przeniesieniu sporu na grunt polemiki osobistej sprzyjać nie chcemy.

P. Maryi. Na otworzenie Instytutu medycznego dla kobiet władza ministeryalna już się zgodziła; dokładnego wszakże terminu jeszcze nie oznaczono. Wiemy, że względy materyalne nie staną na przeszkodzie, gdyż istnieje już na ten cel dość znaczny fundusz. Patent gimnazyalny będzie wystarczający. Kandydatki, nie posiadające świadectwa, mogą składać egzaminy wstępne. Wszystkie wogóle muszą być pełnoletnie. Rozmiaru wpisów jeszcze nie określono.—Wystarczający będzie adres (po francusku): „Koło studentek polskich w Genewie."

— Do dzisiejszego numeru *Prawdy* dołączamy dodatek zwiększony: trzy arkusze (dokończenie) **Historyi filozofii** nowożytnej R. Falkenberga i pięć arkuszy **Literatury porównawczej** Posnetta.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Марта 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.